ŻYCIE

ROK XI — NR 25 (522) NIEDZIELA, 23 CZERWCA 1957 R. CENA 1/6



POLSKI SPADOCHRONIARZ: chwila przed lądowaniem (patrz str. 16)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 25(522)

Niedziela. 23 czerwca 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i **świąt g. 3 - 4 pp.** Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr 330; **kwartalnie**: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.

Wpłaty: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia". Zmiana adresu sh 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr.1.000. Kolor. 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.75 krs. **Włochy: Mme Z. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Bulhak-Jelska,** via Salaria 300 C Roma.

LISTY DO REDAKCJI

DWIE ZAGADKI GEOGRAFICZNE

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Władysław Kujawski w artykule w ŻYCIU nr 20/517 wypowiada się sceptycznie o tezie dr. Steffena, że dokument Dagome Iudex został przez Mieszka I wystawiony w języku greckim. Uważa on, że „pierwszym i podstawowym" argumentem dr. Steffena jest wyraz „locus" w dokumencie, który wygląda na tłumaczenie greckiego „topos". Zdaniem p. Kujawskiego jest to argument niewystarczający.

Pragnę stwierdzić, że argumentacja dr. Steffena jest o wiele rozleglejsza i że owo „locus" niewątpliwe nie jest jego argumentem głównym. Kamieniem węgielnym jego teorii jest rozszyfrowanie dwóch zagadek geograficznych w dokumencie, nad którymi głowią się od wielu lat całe zastępy polskich historyków.

Jak wiadomo, Mieszko I wystawił zapewne około roku 991 dokument, stanowiący akt symbolicznego darowania państwa polskiego Stolicy Apostolskiej. Wiadomość o tym dokumencie brzmi, że Mieszko ofiarował Papieżowi miasto („civitas"), nazywające się Schinesghe, wraz z jego posiadłościami w granicach od Schinesghe wzdłuż Długiego Morza do miejsca („locus") Pruzze, stamtąd do miejsca Russe, stamtąd do Craccoa, od owego Craccoa do rzeki Oddere aż do miejsca zwanego Alemure, a stamtąd do ziemi („terra") Milze, skąd znów do rzeki Oddere i wzdłuż niej z powrotem do miasta Schinesghe.

Mamy tu wyraźnie zarysowany obraz Polski: granica idzie wzdłuż morza, które po dziś dzień rybacy kaszubscy nazywają Wielkim Morzem (w odróżnieniu od Małego Morza, tj. Zatoki Gdańskiej) do kraju Prusów, stamtąd do Rusi (z którą graniczyliśmy wtedy tylko na południu), stamtąd do Krakowa, dalej do rzeki Odry, potem do kraju Milczan, potem znowu do Odry i jej biegiem do morza. Zagadkę stanowią dwa słowa: Schinesghe i Alemure.

Schinesghe wygląda w tekście jakby stolica ówczesnej Polski. Jedni z historyków polskich przypuszczają wobec tego, wbrew geografii, że to jest Gniezno, inni, powodując się położeniem geograficznym, że to Szczecin.

Otóż dr Steffen twierdzi, że to jest nazwa grecka. „Ghe" — to jest po grecku ziemia. „Nesos" — to jest wyspa, a więc „Schines" — to jest taka sama nazwa, jak Peloponez, czy Chersones. Dr Steffen przypuszcza, że to znaczy „Syn-nesos", a więc złączona wyspa. Jako laik pozwalam sobie na zapytanie: dlaczego nie zgodnie z brzmieniem dokumentu: „Schi-nesos", a więc rozszczepiona wyspa? A więc Schinesghe znaczyłoby „ziemia rozszczepionej", czy tej złączonej wyspy".

Otóż zauważmy, że u ujścia Odry leżą dwie wielkie wyspy, Wolin i Uznojmo, rozdzielone potężnym nurtem wody, noszącym nazwę rzeki Świny. Nazwa zarówno „wyspy złączonej" jak i „wyspy rozszczepionej" doskonale do warunków geograficznych pasuje. Na wyspie Wolin istniało ongiś wielkie miasto, wybitne emporium handlowe. Wolin, albo Jumne, albo Wineta, zwane przez Skandynawów Jomsborgiem. Kronikarz Adam Bremeński, jak przypomina dr Steffen, napisał czarno na białym, że Wolin posiadał kolonię grecką: „quam incolunt Sclavi cum aliis gentibus, grecis et barbaris". Istniała tam latarnia morska, „quod incolae grecum ignem vocant". Cóż w tym dziwnego w takim razie, że książę Wolina mógł mieć greckich skrybów, którzy mu po grecku pisali listy do Papieża? I że w tych listach dawali swemu miastu grecką nazwę? — A przecież wiemy pozytywnie, że wnuk Mieszka I, Mieszko II, dobrze władał językiem greckim.

Hipoteza brzmi niezmiernie przekonywująco.

Drugą zagadką było słowo „Alemure". Dr Steffen wywodzi je od greckiego przysłówka „alle" oraz przymiotnika, którego pierwiastek znaleźć można w wyrazach „hamuros", „synuros" i „ksynuros". Znaczy to po prostu „odwrócony zbieg granicy", a więc nie jest nazwą miejscowości.

Teoria dr. Steffena, jeśli się w nauce utrzyma, będzie miała duże znaczenie z punktu widzenia polskiej wczesnej historii. Wynikałyby z niej co najmniej dwa wnioski: że pierwotną stolicą Polski był Wolin i że pogańska Polska była krajem o wiele mniej prymitywnym, niż sądziliśmy dotychczas.

Łączę wyrazy poważania

Jędrzej Giertych

A GDZIE SANTOS DUMONT?

(Dotyczy artykułu T. F. — ŻYCIE, nr 508.)

Kiedy jak kiedy, ale w roku 1957 nie wolno — pisząc o rozwoju lotnictwa — pominąć jednego z największych pionierów podniebnej komunikacji. Chwaliły go w roku ubiegłym gazety, czasopisma, znaczki pocztowe, nawet konkursy i popisy lotnicze.

Pionierem tym był Brazylijczyk, nazwiskiem Albert Santos Dumont (1873-1932).

Bracia Wright wsławili się swoją drogą, ale podobno ich lot z roku 1903 należy zaliczyć do lotów nieoficjalnych, tak jak się do rekordów nieoficjalnych zalicza wyczyny sportowe dokonane bez zachowania odpowiednich warunków i przepisów i bez należytej weryfikacji.

Santos Dumont przebywał we Francji, latał najpierw balonami (sterowcami), a później pokusił się o latanie maszyną szybszą od powietrza. Próbował długo, zmieniał kształt swych maszyn, zakładał motory samochodowe oraz motory własnego pomysłu.

We wrześniu 1906 roku wzleciał (nieoficjalnie) po raz pierwszy: wysokość nie cały metr, długość lotu zaledwie 6 metrów. Aż przyszedł wielki dzień: 23 października! Na placu Bagatelle pod Paryżem zebrały się gromadki ludzi oraz oficjalnych sędziów. Dumont kusił się o zdobycie nagrody „Cup of the Archdeacon" w wysokości 3.000 funtów szterlingów! Po dwóch nieudałych próbach samolot wzniósł się na wysokość 6 metrów i przeleciał odległość 220 metrów. Cztery razy tyle, ile wymagano dla zdobycia nagrody.

Samolot Dumonta był bardzo dziwny i co dziwniejsze — leciał ogonem ku przodowi! Obchodząc rocznicę tego lotu skonstruowano w Brazylii kilka replik owego samolotu „14-Bis", dokonano na nim lotów, ale osądzono, że jest to sport zgoła karkołomny!

Dumont pracował dalej w lotnictwie i dokonał pierwszych dłuższych lotów międzymiastowych we Francji, obrócił swe dalsze modele frontem do przodu, zmieniał ich formę (sławny model „Demoiselle II"), a z katastrofy w roku 1910 ledwo wyszedł z życiem. Od wybuchu wojny 1914 pracuje w Ameryce, ubolewa nad użyciem samolotów do celów wojennych, marzy o zbiorowej obronie republik amerykańskich przed najazdem, organizuje aeronautykę w Chile.

W ostatnich latach swego życia cierpi Dumont psychicznie. Przeraża go używanie samolotów dla celów wojennych, przerażają go katastrofy lotnicze. Jedną z nich widział na własne oczy w Rio de Janeiro. Gdy wracał do swej ojczyzny, spadł w morze jeden ze samolotów, które wyleciały na jego przywitanie.

Gdy w roku 1932 wybuchła w Sao Paulo rewolucja w obronie konstytucji i gdy zrzucono z samolotu jedną jedyną bombę na kwaterę wojskową — Dumont tak się tym przejął, że w rozstroju nerwowym targnął się na swe życie.

Niezliczone są jego pomniki w całej Brazylii. „Pai da Aviaçao" jest bohaterem narodowym największej republiki południowoamerykańskiej.

A. S. — Parana



Znaczek pocztowy wydany w rocznicę historycznego lotu

K R O N I K A

SREBRNE GODY KAPŁAŃSKIE KS. MGR. K. KRZYŻANOWSKIEGO

W dniu 19 bm. minęło 25 lat od dnia, w którym ks. mgr Kazimierz Krzyżanowski został w katedrze płockiej wyświęcony na kapłana.

Skromna uroczystość uczczenia tej rocznicy odbędzie się w niedzielę 30 czerwca o godzinie 13 w Brompton Oratory, gdzie Ks. Jubilat odprawi uroczystą Mszę św. Kazanie wygłosi ks. infułat B. Michalski, który również otrzymał święcenia kapłańskie w katedrze płockiej.

W numerze ŻYCIA na dzień 30 czerwca zamieścimy sylwetkę ks. mgr. K. Krzyżanowskiego, tak dobrze znanego z pracy duszpasterskiej i społecznej w ośrodkach polskich w Wielkiej Brytanii.

TYDZIEŃ LOTNIKA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

W celu przypomnienia społeczeństwu brytyjskiemu wspaniałych osiągnięć Polskich Sił Powietrznych w ostatniej wojnie i utrwalenia w pamięci Anglików a także i naszej zwycięstw odniesionych przez lotników polskich w Bitwie Powietrznej nad Wielką Brytanią, Stowarzyszenie Lotników Polskich urządza w tym kraju co roku tzw. Tydzień Lotnika Polskiego. Zadaniem „Tygodnia" jest ponadto zebranie funduszów na pożyteczne cele dobroczynne Stowarzyszenia.

W roku bieżącym „Tydzień Lotnika Polskiego" przypadł w terminie pomiędzy 10 a 16 czerwca. Władze Stowarzyszenia, apelując do Polaków o poparcie tej tak miłej nam wszystkim imprezy, podkreśliły w pierwszym rzędzie potrzeby funduszu pomocy dla wdów i sierot po poległych lotnikach polskich, który to fundusz jest przedmiotem specjalnej pieczy i starań Zarządu Stowarzyszenia. Dla osób, które nie zdążyły w ciągu „Tygodnia" przekazać datku na ten cel, podajemy tutaj adres, pod którym ofiary można przesyłać: Skarbnik Stowarzyszenia Lotników Polskich, 14 Collingham Gardens, London, S. W. 5.

W niedzielę 16 czerwca po południu, złożono wieńce pod pomnikiem Lotnika Polskiego w Northolt. W uroczystości tej wzięły udział brytyjskie i polskie organizacje kombatanckie. O godz. 8.25 wieczorem tegoż dnia marszałek lotnictwa brytyjskiego, lord Douglas of Kirtleside wygłosił okolicznościowy apel radiowy, nadany przez BBC Home Service i rozgłośnie regionalne.

MIROSŁAWA MAŁACHOWSKA OPUŚCIŁA W. BRYTANIĘ

W dniu 24 maja opuściła Londyn, wyjeżdżając wraz z dziećmi i wnukami na stałe do Kanady, p. Mirosława Małachowska, tak dobrze znana wszystkim, którzy się u nas interesują sprawami oświatowymi i katolicką pracą społeczną.

W czasie dziesięcioletniego pobytu w Anglii p. Małachowska poświęcała tym sprawom cały czas, wkładając w nie najlepsze swoje siły i całe nabyte w Polsce przed wojną w centrali Polskiej Macierzy Szkolnej doświadczenie. Pracowała z nieustającym zapałem. Od powstania Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej była jego sekretarką i redaktorką stałych biuletynów organizacyjnych, które z czasem przekształciły się w miesięcznik pod nazwą „Czyn katolicki", rozchodzący się w nakładzie ponad 1000 egzemplarzy nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale i w innych krajach osiedlenia się Polaków. W tym piśmie sama prowadziła doskonałe praktyczne pogadanki wychowawcze dla rodziców w cyklach: „Krąg rodzinny" i „Rok kościelny w polskim domu". Po wyjeździe będzie nadal te dwa działy zaopatrywała w swe pogadanki zamierzając je przesyłać z Kanady.

Znają dobrze p. Małachowską wszystkie polskie ośrodki w Anglii, do których nie zważając na trudy przyjeżdżała ze swymi tak bardzo trafiającymi do serca i głowy przemówieniami i pogadankami dla matek i wychowawców, a przede wszystkim dla młodzieży, bo z nią zwłaszcza umie szybko nawiązywać kontakt i pozyskiwać jej zaufanie.

ZMIANA ADRESU

Jednocześnie z zawiadomieniem o zmianie adresu, prosimy o wpłatę 1/- szyl., tytułem kosztów administracyjnych.

Administracja

PUNKTY WIDZENIA

TO NASZ UNIWERSYTET

Oczywiście chodzi o Katolicki Uniwersytet Lubelski czyli o KUL. Wiemy, że istnieje, że przetrwał najgorsze lata i że jest jedynym katolickim uniwersytetem na terenie państw „socjalistycznych" poza stalową firanką. Może jednak za mało orientujemy się w tym, że jest on instytucją Kościoła, jego własnością i to, dodajmy zaraz, jedyną instytucją, której Kościołowi w Polsce nie zabrano, innych bowiem dotychczas nie zwrócono.

KUL ma obecnie 4 wydziały: teologii, prawa kanonicznego, filozofii i nauk humanistycznych. Wydziały dzielą się na sekcje, a więc są sekcje: teologiczna, kursy wyższy i niższy prawa kanonicznego, sekcje filozofii, teoretyczna i praktyczna, historii i historii sztuki, filologii polskiej, francuskiej, angielskiej, niemieckiej i klasycznej. Studiuje na KUL-u 1331 studentów, pracuje 170 sił naukowych i około 130 pracowników innego rodzaju. Blisko połowa młodzieży studiuje na wydziale nauk humanistycznych, przy czym na historii — 214 osób, a na polonistyce 207. Na wydziale filozoficznym jest obecnie 389 studentów, na kursie niższym teologii około 200, na wyższym 121, na wydziale prawa kanonicznego 56 osób. Cyfry godne uwagi i refleksji.

O pracy naukowej KUL-u w r. 1956 świadczy również działalność wydawnicza Towarzystwa Naukowego KUL-u; a więc Rozprawy Wydziału Historyczno-Humanistycznego oraz Roczniki Humanistyczne, seria poważnych prac wydanych w Rocznikach Teologiczno-Kanonicznych, i liczne prace filozoficzne.

KUL bierze udział w pracach przygotowujących polskie Millennium; wśród nich znajduje się opracowanie atlasu historycznego Kościoła w Polsce. Są plany wydania książek o charakterze naukowo-popularyzacyjnym z zakresu teologii, liturgii i humanistyki. Plany wydawnicze

Osobną pozycję dorobku stanowi praca społeczna i kulturalna studentów i promieniowanie uczelni we własnym ośrodku i jego okolicach. Przy KUL-u istnieje Instytut Kultury Religijnej dostępny dla szerszych kół słuchaczy. Studenci pracują w szeregu kół naukowych, mają własny Teatr Akademicki KUL-u.

A jakie są ramy materialne tej pracy? Całe życie uczelni skupia się w jednym większym gmachu przy Alejach Racławickich w Lublinie, tam są sale wykładowe i zakłady naukowe. Biblioteka Główna, licząca około 200.000 pozycji, mieści się w innym budynku. KUL ma własny kościół akademicki. Studenci mieszkają w domach akademickich, z których dwa żeńskie są w Lublinie, z dwu męskich jeden w Lublinie, a drugi pod Lublinem w Krężnicy Jarej. Studentów żywi osobne gospodarstwo stołówkowe, zwane przez młodzież „Poczekajką". Niestety tylko połowa studiujących znajduje pomieszczenie w tych zresztą skromnych domach akademickich.

Krótko mówiąc jest ciasno i to wszędzie ciasno, trzeba rozbudowywać budynek uniwersytecki, powiększać ilość zakładów, trzeba znaleźć pomieszczenie na stale powiększającą się bibliotekę, trzeba mieszkań dla sił naukowych, trzeba izb mieszkalnych dla studentów. Jest nadzieja na odzyskanie wydziału nauk prawnych i społeczno-ekonomicznych oraz na przywrócenie sekcji pedagogicznej na wydziale humanistycznym i znów trzeba na nie miejsca.

Pomimo heroicznej postawy wykładowców, którzy niejednokrotnie rezygnowali z podwyżek płac, większość środków musi iść na wydatki osobowe, bo ogólne położenie materialne kraju jest bardzo ciężkie, i KUL musiał zrezygnować z planów budowlanych itp.

Utrzymanie KUL-u kosztuje co najmniej 10 milionów złotych rocznie. Składa tę sumę corocznie polskie katolickie społeczeństwo w Kraju w czasie zbiórek urządzanych we wszystkich parafiach polskich w drugie dni Bożego Narodzenia i Wielkanocy, w niedzielę Trójcy Przenajświętszej oraz w II niedzielę czerwca i III niedzielę września. Składa je też około 50 tysięcy osób, należących do Towarzystwa Przyjaciół KUL czyli do TPKUL, płacących co najmniej po 18 zł. rocznie. Uniwersytet Lubelski jest własnością wszystkich Polaków katolików w Polsce, bo oni go utrzymują; nie daje nań ani grosza państwo z funduszów publicznych.

Mamy słuszny powód do dumy, umieliśmy jak inne narody założyć swój polski uniwersytet katolicki i potrafimy go utrzymać. Ale trzeba mu zapewnić rozwój, w czym i my tutaj możemy dopomóc. KUL potrzebuje również naszej pomocy. Możemy przecież zakładać i tutaj Koła Towarzystwa Przyjaciół KUL, możemy zbierać grosze, możemy zainteresować nim uniwersytety i koła katolickie zagraniczne, możemy zbierać i wysyłać książki naukowe do biblioteki KUL, możemy nabywać i wymieniać wydawnictwa, możemy starać się o stypendia i wyjazdy naukowe dla absolwentów i studentów KUL-u, możemy ich zapraszać i gościć w czasie pobytu na studiach w krajach, w których obecnie mieszkamy. Możemy w końcu korespondować z Twem Przyjaciół KUL (Lublin, Al. Racławickie 14) i dowiadywać się jakie są najpilniejsze potrzeby tego Uniwersytetu oraz zgłaszać formy naszej pomocy.

A właśnie od Świąt Zielonych do Niedzieli Trójcy Przenajśw., czyli od 10 do 17 czerwca w Kraju trwał Tydzień KUL-u.

J.Cz.

Od chwili powstania Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą wzięła p. Małachowska żywy udział w pracach jej zarządu i rady. Przez szereg ostatnich lat redagowała miesięcznik dla dzieci pn. „Dziatwa", ustalając typ tego pisma oraz znakomicie poszerzając jego zasięg i zwiększając nakład.

W czasie całego swego pobytu w Anglii współpracowała p. Małachowska czynnie z naszym Ośrodkiem Wydawniczym umieszczając swe artykuły, pogadanki i recenzje książek w naszych wydawnictwach i czasopismach: „Gazecie Niedzielnej", „Drodze" i ŻYCIU, przez pewien czas była też sekretarką redakcji ŻYCIA. Wyjeżdżając zapewniła nas, że współpracę z nami nadal będzie podtrzymywała, za co wyrażamy Jej wdzięczność w imieniu własnym i Czytelników.

Życząc p. Małachowskiej i Jej Rodzinie jak najpomyślniejszego ułożenia się warunków w nowym miejscu pobytu, wyrażamy nadzieję, że w krótkim czasie usłyszymy o kontynuowaniu w Kanadzie prac tej urodzonej działaczki społecznej.

J. Cz.

RZEŹBY W HOLLAND PARKU

London County Council zorganizował wystawę rzeźby w przepięknym, otwartym przed kilku laty, Holland Parku. Rzeźby dzięki otoczeniu starych drzew i kwiatów mają świetne tło. Ta sala wystawowa, gdzie sufitem jest niebo czerwcowe, a ścianami liście, sama już jest atrakcyjna, a wypełniona rzeźbami daje duże przeżycie estetyczne.

Wystawa obejmuje 28 rzeźb współczesnych oraz 14 z połowy XIX wieku. Wystawę otworzył Earl of Harewood, jest ona bardzo licznie zwiedzana przez londyńczyków jak i przyjezdnych.

Dzięki dużej rozmaitości oraz rzeźbom sprzed stulecia ma się przegląd różnorakich prądów, które rzeźba reprezentuje. Najbardziej egzotyczna wydaje się rzeźba Lynn Chadwicka „Teddy chłopak i dziewczyna". Praca ta wzbudza w oglądających protest wewnętrzny, efekt zamierzony chyba przez artystę. Jest to rzeźba (jak większość rzeźb nowoczesnych) zmuszająca do myślenia, w pełni nowoczesna, niezwykle silna w wyrazie.

Reg Butler dał dzieło bardzo ciekawe: „Dziewczyna 5456", w którym wyczuwa się wpływ innego wybitnego rzeźbiarza Mariniego, który zasłynął swoimi „Jeźdźcami".

„Estera" sir Jakuba Epsteina jest typową rzeźbą tego wybitnego artysty, nie wnosi jednak niczego nowego do jego świetnego dorobku.

„Spoczynek" Gilbert Ledwarda przypomina równie dobrze Michała Anioła i naszego Wittiga, będąc rzeźbą nastrojową i równocześnie harmonijnie wycyzelowaną w szczegółach. „Portret Elżbiety Frink" przez F. McWilliama wyraża świetnie współczesność z jej umiłowaniem swobody.

Nie wszystkie rzeźby czują się dobrze w swoim sąsiedztwie, tak te prace różne są często od siebie, nie wszystkie pasują do tła w ogrodzie, jako że już w założeniu swym przeznaczone są do małych intymnych wnętrz. Całość jednak wywiera mocne wrażenie, bardziej korzystne niż urządzona tutaj również przez LCC wystawa rzeźby przed dwoma laty.

S. L.

◆◆◆ ROZPOWSZECHNIAJ WŚRÓD SWYCH ZNAJOMYCH »Ż Y C I E« ◆◆◆

Ż Y C I E

ROK XI NR 25 (522)

Niedziela, 23 czerwca 1957 r.

Fotografia obok pokazuje nam dwa miniaturowe modele artystyczne. Po prawej stronie model katedry na Wawelu, po lewej — wykonawcy usiłują stworzyć wierną miniaturę zamku krakowskiego z okresu XVIII i na początku XIX wieku. Przewidziane jest odtworzenie w miniaturze pamiątek wawelskich z różnych okresów historii. Modele, po wykończeniu, są oglądane i oceniane przez publiczność na specjalnej, poświęconej temu celowi wystawie.





W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE KRAJU

O PRZYWRÓCENIE SAMORZĄDU MIASTOM

W ostatnich dniach mają zjawił się przed mikrofonem radia warszawskiego Lech Wieniawski, który w dłuższym komentarzu naświetlił działalność rad narodowych. Wieniawski podzielił się z radiosłuchaczami swoimi spostrzeżeniami, zebranymi na posiedzeniach rad narodowych w województwie warszawskim. Jednak fakty nakreślone przez niego — można było wywnioskować — są zjawiskiem ogólno-polskim.

Wieniawski stwierdził, że na posiedzeniach, w których uczestniczył, dowiedział się, że sytuacja w miastach stale się pogarsza, w szczególności, jeśli chodzi o zaopatrzenia w wodę, gaz, elektryczność i o budownictwo mieszkaniowe. Wszystkie te dziedziny są od lat fatalnie zaniedbane. Członkowie rad narodowych zbierają się na posiedzenia, by wyrazić swoje żale, jednak nikt z nich nie okazuje jakiejkolwiek inicjatywy z tej prostej przyczyny, że miasta nie posiadają na ten cel żadnych funduszów. Bardziej aktywni członkowie rad domagają się przeto od władz centralnych przywrócenia miastom przedwojennego samorządu, zlikwidowanego w roku 1950.

Własne źródła dochodów. Przypomnijmy sobie jak wyglądał samorząd miejski przed wojną. Każda jednostka samorządu terytorialnego — w szczególności jeśli chodzi o miasta — miała przed wojną zabezpieczone ustawowo swoje źródła dochodów. Poza opłatami i podatkami samoistnymi, do których należał podatek gruntowo-budynkowy, miasta korzystały z udziału w podatkach państwowych oraz w dopłatach do niektórych podatków czysto państwowych. Niezależnie od tych źródeł, miasta czerpały dochody z przedsiębiorstw własnych, jak elektrownie, gazownie, wodociągi, i z własnych przedsiębiorstw komunikacyjnych, głównie autobusowych. Dzięki tym dochodom były one w stanie utrzymywać i rozbudowywać zakłady użyteczności publicznej, naprawiać i budować własne drogi, utrzymywać własne szpitale, szkoły i ochronki miejskie, przyznawać zapomogi bezrobotnym i ubogim i budować własne domy mieszkalne. Dla zrealizowania większych projektów opłacalnych, miasta, za zgodą władz przełożonych, mogły zaciągać pożyczki. Samorząd wyręczał więc państwo w wykonywaniu na miejscu zadań publicznych — posiadał własny personel, opłacany z budżetu miejskiego i z własnych źródeł wypłacał swoim urzędnikom emerytury.

Zmiany w roku 1950. Naśladując sowieckie wzory administracji terytorialnej, rada państwa wydała w dniu 20 marca 1950 roku dekret „o jednolitych organach administracji państwowej". Wspomniany dekret zniósł całkowicie istniejący już wtedy tylko na papierze samorząd, zaś wszystkie jego stopnie, tj. samorząd powiatowy i miejski (miasta zarówno wyłączone jak i nie wyłączone z powiatu) przeobraził w jednostki władzy państwowej. Stworzono też, ściśle według wzorów sowieckich, władze wojewódzkie, zaś na najniższym stopniu postawiono organy gminne. Zniesione zostały stanowiska: wojewody, starosty, burmistrza i przewodniczącego gminy, a ich miejsce zajęły rady narodowe, które spośród siebie wybrały prezydia odpowiadające prezydiom rosyjskich terytorialnych Sowietów. Zakres działalności rad narodowych, zwłaszcza na szczeblu województwa, powiatu i miasta wydzielonego, uległ znacznemu rozszerzeniu z uwagi na powierzenie tym jednostkom administracyjnym zarządu różnych zakładów upaństwowionych w okresie pierwszych sześciu lat socjalizacji Kraju. Przy radach powiatowych i miejskich utworzono wydziały orzekające, które zasłynęły z masowego wymierzania robotnikom tzw. kary wychowawczej, tj. kary za spóźnienie się do pracy lub nieobecność. Skazany na taką karę był zmuszony pozostać w swoim zakładzie pracy w ciągu okre-

su ustalonego przez wydział orzekający, co gorsze, musiał wykonywać tę samą pracę przy zmniejszonym o 25 proc. zarobku. Masy pracujące znienawidziły nowy typ rad narodowych.

Skutki gospodarcze zmian z roku 1950. Tu znowu oddajemy głos obywatelowi Wieniawskiemu.

Wieniawski raz jeszcze stwierdza, że dekret z roku 1950 zburzył podstawy samorządu miejskiego, a jednocześnie zlikwidował wodociągi i urządzenia komunikacyjne, jak całą własność tych samorządów. Państwo zabrało tedy miastom: elektrownie, gazownie, tramwaje, kolejki i autobusy. Rady narodowe obowiązane były od tego czasu do ściągania tych opłat i przekazywania ich do skarbu państwa.

Taki system — wyjaśnia Wieniawski — zabił całkowicie inicjatywę czynników lokalnych. Miasta zostały wywłaszczone z majątku, z którego czerpały dochody na własne potrzeby i stały się tylko inkasentami dochodów dla skarbu państwa. Najpilniejsze zadania mogły już tylko wtedy wykonać, jeśli władze centralne przyznały im na ten cel odpowiednie fundusze, a ponieważ skarb potrzebował pieniędzy na rozbudowę ciężkiego przemysłu, stąd przydzielane fundusze budżetowe dla miast były i pozostały bardzo niskie. Wystarczyły dosłownie tylko na łatanie dziur i na opłacanie personelu.

Wieniawski przytoczył tu przykład Żyrardowa, na którego terenie leży siedem zakładów przemysłowych, a z których od lat ani jeden grosz nie wpłynął do kasy miasta. Skutki nowego systemu — twierdzi Wieniawski — są fatalne, demoralizują w wysokim stopniu czynniki miejskie, które zamiast być zapobiegliwymi gospodarzami, zostały zamienione na ajencje skarbu państwa. Rozpanoszyła się w nich przy tym niesamowicie biurokracja, co zresztą jest logicznym następstwem centralizacji gospodarki państwowej. Z polecenia władz centralnych wykonują funkcję kilkunastu resortów, przeprowadzają skup produktów, zarządzają siecią handlu uspołecznionego, kupują i sprzedają surowce i gotowe towary. Nie można się więc dziwić, jeżeli do tak skomplikowanego aparatu wkradła się korupcja, o czym prasa krajowa pisze omal codziennie.

Zaniedbane dziedziny gospodarki miejskiej. Wykonywanie tak rozlicznych zadań, rozbudowany nadmiernie aparat administracyjny, brak funduszów, a wreszcie ingerencja sekretarzy partyjnych w gospodarkę miejską spowodowały, że istotne zadania miast zostały zupełnie zaniedbane. Miasta nie mogą się zajmować rozbudową sieci elektrycznej, gazowej i wodociągów, ponieważ nie mają na ten cel funduszów. Jeśli zaś zajdzie jakaś paląca potrzeba, to muszą zwrócić się do władz centralnych o pomoc. Nie ulega wątpliwości, że konieczność muszą udokumentować stertami papierów, po czym zwykle przyjeżdża do miasta komisja rządowa dla sprawdzenia szczegółów, a wreszcie, gdy już wszystko zbadano, otrzymują od władz centralnych wiadomości, że fundusze na ten cel nie zostały przewidziane w planie gospodarczym.

Fakt, że miasta polskie znajdują się w opłakanym stanie, został potwierdzony przez osoby, które ostatnio odwiedziły Polskę. Wiadomo zresztą, że gościom zagranicznym pokazuje się zawsze tylko Warszawę, Kraków i Katowice, nie pokazuje im się innych miast, w których skutki zniesienia samorządu terytorialnego biją w oczy. Za to prasa partyjna nie chcąc przyznać, że za to wszystko odpowiada reżym, który na ślepo skopiował sowieckie wzory, uderza przy każdej sposobności w rady narodowe, czyniąc je odpowiedzialnymi za wszelkie braki i niedociągnięcia.

Uwagi „eksperta". W „Trybunie Ludu" z 29 maja zabrał w tej sprawie głos Jerzy Albrecht, sekretarz komitetu centralnego i b. przewodniczący prezydium stołecznej rady narodowej. Usiłuje on przekonać czytelników, że przedwojenny samorząd miast zajmował się stosunkowo małym tylko odcinkiem ich gospodarki i nie wywierał wpływu na podstawowe dziedziny, tj. na gospodarkę narodową i zagadnienia społeczne. Teraz jest inaczej — radom narodowym przyznano szeroki zakres zadań, na prawdziwie demokratycznych zasadach. Albrecht musiał jednak przyznać, że rady narodowe miast są całkowicie zależne od funduszów, przyznawanych im z budżetu państwa, a stąd wynika niezgodność między teorią i praktyką. Przyznał on dalej, że radom narodowym należy dać większą samodzielność finansowania i zapewnić im dochody z przedsiębiorstw, w szczególności komunikacyjnych, wodociągów i z budynków, które są obecnie tylko administrowane przez miasta i przynoszą straty. Albrecht spodziewa się, że te przedsiębiorstwa w rękach miasta mogą przynieść zyski.

O czym nie wspomniano. Zarówno Wieniawski jak i Albrecht nie wspomnieli nic o stronie personalnej, zwłaszcza o składzie prezydiów rad narodowych. Przedwojenny samorząd terytorialny był wprawdzie jeszcze daleki od stanu idealnego, jednak zdołał on w okresie dwudziestolecia wychować kadry gospodarzy miast, którzy mając do dyspozycji fundusze, potrafili ocenić stopień pierwszeństwa potrzeb zarządzanego przez nich miasta. Toteż miasta się rozbudowywały, powstawały nowe zakłady użyteczności publicznej, poprawiały się warunki higieniczne, a niektóre miast uchodziły za bogate. Nie można sobie jednak wyobrazić, by w nowym systemie mógł być wybrany gospodarzem miasta samorządowiec starego typu. Miejsca fachowców zajęli bowiem rutynowani członkowie partii a w takich warunkach i zmiana w systemie zdobywania własnych dochodów niewiele pomoże zaniedbanym miastom.

W. O.

RADY ROBOTNICZE W POLSCE

Rady robotnicze w Polsce, jako jedna z inowacji po-październikowych, zorganizowane zostały na wzorach jugosłowiańskich, gdzie rzekomo okazały się bardzo pożytecznym instrumentem udziału robotników w całokształcie gospodarki narodowej tego kraju. Zakres działalności rad robotniczych w Polsce został sformułowany w ustawie z 19 listopada 1956. Jest to zakres bardzo obszerny, bo obejmuje m. in.:

1) opiniowanie projektów rocznych wskaźników zadań planowych;
2) uchwalanie planów rocznych przedsiębiorstwa na podstawie wskaźników wynikających z narodowego planu gospodarczego;
3) uchwalanie operatywnych planów przedsiębiorstwa;
4) ustalanie struktury i schematu organizacyjnego przedsiębiorstwa oraz kierunków rozwoju zakładu pracy;
5) ustalanie wytycznych odnośnie uprawnień produkcji, polepszeń jakości i estetyki produkcji, podnoszenie wydajności pracy, polepszanie higieny i bezpieczeństwa pracy;
6) ocena działalności gospodarczej przedsiębiorstwa, zatwierdzanie bilansów rocznych;
7) zatwierdzanie — na podstawie opinii dyrektora — sprzedaży zbędnych maszyn i urządzeń;
8) ustalanie układu zbiorowego norm pracy, taryfikatorów płacy i regulaminów premiowania;
9) przeznaczanie części zysku na cele związane z działalnością gospodarczą przedsiębiorstwa, decydowanie o podziale funduszu zakładowego i podziale zysku przypadającego załodze.

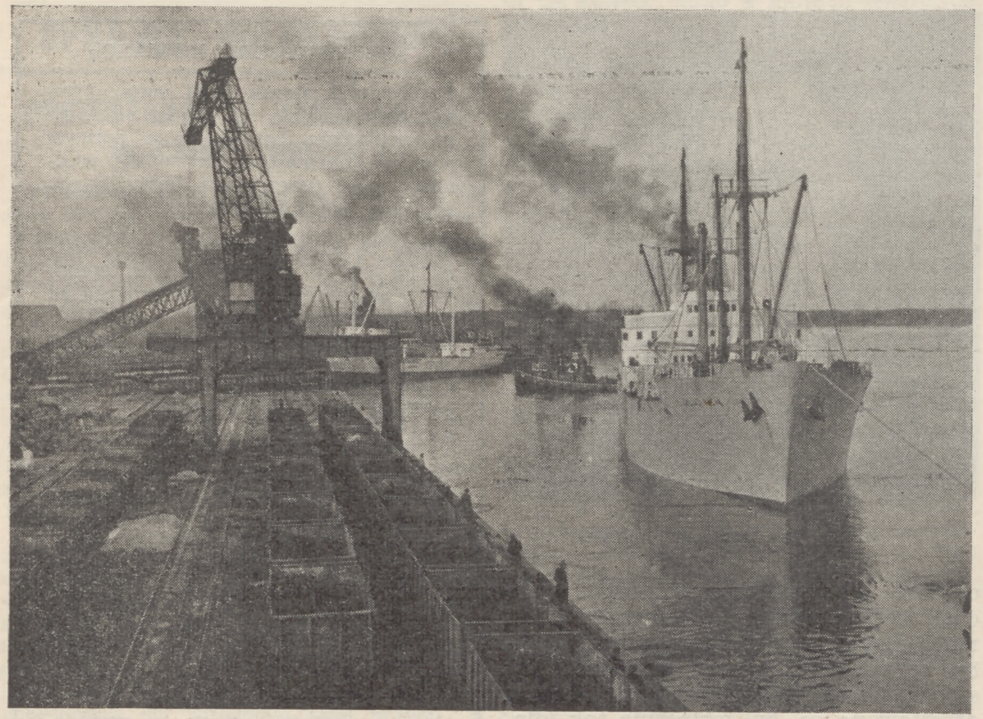
Ustawa poleca radom robotniczym podejmowanie w wielu wypadkach decyzji tylko w porozumieniu z radą zakładową, instytucją znacznie wcześniejszą, a w razie braku porozumienia decyzję ma powziąć załoga przedsiębiorstwa.

Radę robotniczą wybiera się spośród robotników, inżynierów, techników, ekonomistów i innych pracowników, z tym, że robotnicy winni — w miarę możności stanowić 2/3 członków rady. Do rady wchodzi z urzędu dyrektor przedsiębiorstwa, który ma obowiązek przygotowania radzie wszystkich materiałów potrzebnych do obrad.

Na podstawie ustawy, dyrektora przedsiębiorstwa i jego zastępców powołuje i odwołuje właściwy organ państwowy, po uzgodnieniu z radą robotniczą. Z drugiej strony, rada ma prawo występowania z wnioskiem w sprawie powoływania i odwoływania dyrektora oraz jego zastępców. Dyrektor jest uprawniony — w nagłych wypadkach — powziąć decyzję, zobowiązany jest jednak przedłożyć swoją decyzję na najbliższym posiedzeniu rady do zatwierdzenia.

Stan faktyczny. Jak wynika z podanego wyżej zarysu strony prawnej, zakres uprawnień rad robotniczych jest bardzo obszerny, w szczególności, jeśli weźmie się pod uwagę przedyskutowanie i decyzje w sprawach, gdzie plan przedsiębiorstwa jest powiązany z planem gospodarczym dla całego państwa i wymaga gruntownej znajomości wskaźników produkcji. W takiej sytuacji trudno sobie wyobrazić, by robotnik wybrany do rady (a rada, według ustawy, winna składać się z 2/3 robotników) był w stanie zrozumieć skomplikowany system obliczania kosztów produkcji i związanych z tym wskaźników płac. Niejeden z robotników może rzeczywiście znać dobrze system produkcji w dziale, w którym sam pracuje, i będzie w stanie zwrócić uwagę na niedomagania i sugerować ulepszenia, nie zna on jednak wszystkich nader skomplikowanych procesów produkcji w innych działach przedsiębiorstwa. Na tym właśnie tle — jak wynika z prasy krajowej — dochodzi w różnych przedsiębiorstwach do nieporozumień między radą a dyrekcją, która ostatecznie odpowiada za wykonanie zarówno jakości produkcji, jak i całego planu produkcyjnego zakładu. Stąd mnożą się zarzuty przeciw dyrekcjom, że to one, czując się dobrze w tradycyjnym biurokratyzmie, utrudniają radom robotniczym prawidłowe wykonywanie ich funkcji.

Inne czynniki doradcze. Poza radami robotniczymi, które według oficjalnych komunikatów, czynne są w 50 procentach ogółu przedsiębiorstw, czynne są jeszcze inne rady, względnie inni doradcy. Istnieje zatem — o czym wspomnieliśmy już poprzednio — rada zakładowa, która w niektórych wypadkach musi wyrazić zgodę na decyzję rady robotniczej. A poza radą zakładową istnieje w każdym zakładzie związek zawodowy, którego opinii rada zakładowa nie może pominąć przy podejmowaniu decyzji.



PORT W SZCZECINIE
Do brzegu przybija statek czeski z ładunkiem rudy żelaznej z Norwegii.

A wreszcie jest coś, czego nie zmienił i Październik. Istnieje na terenie każdego zakładu POP, tj. Podstawowa Organizacja Partyjna, która wykonuje instrukcje wydane jej bezpośrednio przez partię — nie utraciła tu głosu decydującego. W sumie więc, do gospodarki zakładu mieszają się aż cztery różne organizacje, pomiędzy którymi lawirować musi dyrektor zakładu odpowiedzialny za całość produkcji. W tym stanie rzeczy dyrektor będzie zawsze szukał oparcia o czynnik najsilniejszy, tj. o partię, bo tylko tam może znaleźć obronę. Stąd wniosek, że przedpaździernikowy wpływ partii na gospodarkę zakładów, a zatem na całą gospodarkę państwa, nie uległ żadnym zmianom.

Co mówi Gomułka o radach robotniczych? W czasie IX plenum Komitetu Centralnego PZPR (15-18 maja) Gomułka poświęcił prawie całą godzinę omówieniu zadań rad robotniczych. Według Gomułki rady robotnicze stanowią organy, poprzez które klasa robotnicza bierze bezpośredni udział w zarządzaniu gospodarką narodową i tą drogą przyczynia się do utrwalenia dyktatury proletariatu. Stwierdził on, że nikt nie może i nikt nie zamierza narzucać robotnikom osobowego składu rad. Niech wybierają tych, do których mają najwięcej zaufania, jednak dodał: „partia klasy robotniczej, jaką jest nasza partia, nie mogłaby nosić zaszczytnego tytułu partii robotniczej, gdyby była obojętna wobec składu rad robotniczych, gdyby przyglądała się biernie kogo robotnicy wybierają. Zadanie partii, zadanie podstawowych organizacji partyjnych, polega na tym, aby wskazać robotnikom kandydatów do rad".

Gomułka przeszedł następnie do zagadnienia, które nie ma podstawy prawnej w ustawie o radach robotniczych. Stwierdził, że należy wyplenić kradzieże mienia publicznego w fabrykach, ponieważ w ostatnim czasie przyjął się wśród ludzi pogląd, iż kradzież mienia publicznego dotyczy tylko państwa a nie samych robotników. Wezwał rady robotnicze, by wspólnie z radami zakładowymi i organizacjami partyjnymi ustaliły sankcje karne dla osób dopuszczających się drobnych kradzieży, chociaż winien był wiedzieć, że sankcje karne należą tylko do sądu, który je stosuje na wniosek prokuratora, oraz że jego poprzednicy wydali już w roku 1953 specjalną ustawę „O ochronie mienia publicznego przed drobnymi kradzieżami" (ustalono karę od 1 miesiąca do 3 lat, albo grzywnę). Od tego czasu, jak można wywnioskować z przemówienia Gomułki, kradzież mienia publicznego wzmogła się znacznie.

Opinie obcych obserwatorów. W ubiegłym roku odwiedziła Polskę grupa ekonomistów brytyjskich, wśród których był również P. Wiles, profesor uniwersytetu w Oksfordzie. Zaproszony w styczniu bież. roku przez redakcję „Po prostu", by wypowiedział się o polskich radach robotniczych, prof. Wiles ogłosił swoje zdanie w „Po prostu" z 21 kwietnia br. Znajdujemy w tej wypowiedzi takie oto sformułowanie:

„Mówię jako Anglik, który nigdy nie był zarażony kultem jednostki, a jeżeli jestem reakcjonistą, to tylko w starym znaczeniu tego słowa. Jeżeli mam poważne wątpliwości co do samorządu robotniczego, to nie dlatego, że wierzę w centralistyczne planowanie lub zbiurokratyzowane związki zawodowe lub spontaniczne uchwalanie wyższych norm przy tych samych płacach, ale po prostu dlatego, że wykładamy naszym studentom historię brytyjskiego ruchu robotniczego i jestem ściśle związany z tzw. ruchem współwłasności (Co-ownership movement), lansowanym przez brytyjską partię liberalną".

Rozwijając swój pogląd dodaje:

„Polski entuzjazm dla rad robotniczych jest w dużej mierze jednym z przejawów tego ogromnego idealizmu i optymizmu, który zrodził się w dniach polskiego Października. Jako reakcja na to, co go poprzedzało, jest mi zupełnie zrozumiały. Fatalną jego słabością jest to, że podporządkowuje względy gospodarcze względom politycznym i w dziedzinie gospodarczej opiera się na szeregu utopijnych przesłanek... Ale czy może samorząd robotniczy przyczynić się do rozwiązania problemów sięgających poza fabrykę, np. stosunku przedsiębiorstwa do państwa? Nie, nie może. W pewnych warunkach rady robotnicze mogą oczywiście stanowić polityczną przeciwwagę dla biurokracji. Rady robotnicze były konieczne z tego właśnie powodu w październiku; jako przeciwwaga gospodarcza są teraz zbędne. Wolno każdemu mieć swoje zdanie. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego Polska nie miałaby w tym wypadku iść po linii, po której idzie wiele innych krajów, to znaczy dać robotnikom kontrolę nad społeczną stroną przedsiębiorstwa i wzmocnić ich pozycję w ustalaniu płac i norm przy zachowaniu jednoosobowego zarządu dla spraw finansowych, technicznych i odnośnie zagadnień związanych z produkcją. Tu robotnicy winni posiadać tylko głos doradczy".

W. O.

„POLAND AND GERMANY"

Ukazanie się pierwszego, wiosennego numeru kwartalnika w języku angielskim, pod nazwą „Poland and Germany", poświęconego stosunkom polsko-niemieckim, zaspakaja pilną i dawno już wyrażaną potrzebę. Powstaje trybuna, gdzie na użytek obcych, naszych przyjaciół, przeciwników i obojętnych, będą Polacy mogli przedstawiać swoje poglądy i podejmować dyskusje w sprawach ważnych i aktualnych, obchodzących nie tylko nas, ale po prostu całą Europę, mianowicie stosunków między Polską i Niemcami i związanych z tym zagadnieniem problemów.

Kwartalnik „Poland and Germany" został wydany przez Ośrodek Badań Spraw Polsko-Niemieckich w Londynie — „The Studies Centre on Polish-German Affairs" (20 Princes Gate, London, S.W.7). Inicjatywę tę zawdzięcza społeczeństwo polskie Związkowi Ziem Zachodnich i zasłużonej grupie działaczy tej organizacji. Do Komitetu Redakcyjnego kwartalnika wchodzą pp.: Antoni Dargas, Paweł Hęciak, Stanisław Krause, Stefan Lubomirski, Tadeusz Nieduszyński i Adam Żółtowski. Redaktorem jest Józef Kisielewski

Pierwszy numer zawiera następujące działy: artykuły zasadnicze; dokumenty, fakty i cyfry; recenzje książek i prasy; kronikę. W dziale artykułów piszą: Wojciech Wasiutyński — o stosunkach polsko-niemieckich z perspektywy wydarzeń przedwojennych; Jerzy Zdziechowski — o stanowisku Zachodu w sprawie granicy polskiej na Odrze i Nysie, na tle analizy książki Elżbiety Wiskemann pt. „Germany's Eastern Neighbour"; Karol Grabowski o wpływie „odwilży" na stanowisko niemieckie wobec Polski, przy czym rozpatrzone są wnikliwie wypowiedzi tych niemieckich polityków, którzy przynajmniej częściowo usiłują przeciwstawić się zaślepionemu rewizjonizmowi. Dział informacyjny przynosi tekst wypowiedzi McCloy'a, b. wysokiego komisarza Stanów Zjednoczonych w Niemczech; opracowanie uchwał poczdamskich przez Bolesława Krzemińskiego; pracę Kazimierza Glabisza o rozwoju miast na Ziemiach Odzyskanych, wraz z przekonywującym zestawieniem danych statystycznych. Wśród recenzji omówione zostały książki: „General Groener" — Doroty Groener-Geyer; „Wir und der Kreml"

(Dokończenie na str. 15)

ŻYCIE KATOLICKIE

NOWY ARCYBISKUP POZNANIA



J. E. Ks. Arcybiskup Baraniak

W czasie przyjęcia w domu księży salezjanów w Messynie, gdzie ks. kardynał Wyszyński bawił w drodze do syrakuzańskiej cudownej Matki Boskiej Płaczącej, podał Ks. Prymas do wiadomości nominację ks. biskupa Antoniego Baraniaka, salezjanina, na osieroconą od śmierci ks. arcybiskupa Walentego Dymka stolicę arcybiskupią w Poznaniu.

Nowomianowany ks. arcybiskup Antoni Baraniak urodził się 1 stycznia 1904 roku w Sebastianowie pod Poznaniem. W młodym wieku wstąpił do zgromadzenia salezjanów, gdzie otrzymał początkowe wychowanie. Studia teologiczne odbył na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Wyświęcony na kapłana w roku 1930 został wkrótce potem sekretarzem kardynała Augusta Hlonda.

Po wybuchu drugiej wojny światowej towarzyszy ks. kardynałowi, najpierw w Rzymie, dokąd kardynał udał się na skutek nalegań rządu polskiego i po porozumieniu się z nuncjuszem Cortesi'm. Przez 3 lata przebywa w Lourdes, gdzie kardynał był gościem biskupa Tarbes i Lourdes, potem zaś w opactwie benedyktyńskim w Hautecombe w Sabaudii. Pobyt w stolicy chrześcijaństwa, a także lata spędzone w stolicy Maryjnej i w opactwie benedyktyńskim wywarły niewątpliwie wielki wpływ na ks. dra Baraniaka, przyspasabiając go do ciężkich zadań, jakie go czekały jako biskupa pomocniczego gnieźnieńskiego i jakie go jeszcze czekają jako arcybiskupa poznańskiego.

Jemu to w ostatniej chwili swego życia zalecił kardynał Hlond: „Proszę powiedzieć Ojcu św., że mu byłem zawsze wierny".

Po skończonej wojnie, mając lat 47, a kapłaństwa lat prawie 21 zostaje ks. Baraniak 26 kwietnia 1951 r. mianowany przez Papieża biskupem tytularnym diecezji Theodosiopolis w Armenii, (kraju, który obficie został zroszony krwią męczenników), — i przydzielony do pomocy arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, obecnemu kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu, który mu udzielił sakry biskupiej w dniu 8 lipca tegoż roku.

25 września 1953 r. aresztowany został przez agentów Bezpieki i wywieziony z Warszawy Prymas Polski, a w kilka dni później biskup Baraniak zostaje również aresztowany i uwięziony. Uprzednio już uwięziono wikariusza generalnego archidiecezji gnieźnieńskiej, biskupa Lucjana Bernackiego. Gniezno, prastara stolica prymasowska, została pozbawiona biskupów. Biskup Baraniak poddany był intensywnym przesłuchom w więzieniach Bezpieki, o których obecnie wiemy już oficjalnie, że były miejscem nieludzkich tortur. Na skutek tych tortur ks. biskup Baraniak stracił zupełnie zdrowie i nie odzyskał go dotychczas. Pomimo że pracuje obecnie z dużym poświęceniem, jest nadal fizycznie wyczerpany i bardzo słaby. Zarzut szpiegostwa i działalności na szkodę republiki ludowej, pod którym aresztowano go, był widocznie tak idiotyczny, że komunistyczni prześladowcy nigdy nie ośmielili się na publiczną rozprawę sądową ani nawet na publiczne ogłoszenie tego oskarżenia. Niemiecka katolicka agencja prasowa podała swego czasu wiadomość, że jednak odbył się sąd tajny i biskup Baraniak skazany został na dwadzieścia lat więzienia.

W pierwszych dniach listopada 1956 r., wkrótce po uwolnieniu ks. prymasa Wyszyńskiego, biskup Baraniak był również wypuszczony z więzienia i po krótkiej kuracji dla odzyskania choćby minimum niezbędnych sił, stanął na nowo do pracy jako sufragan Prymasa i kierownik jego kancelarii w Warszawie.

Dostojnemu Nominatowi życzymy zdrowia i sił do pracy na historycznej stolicy arcybiskupiej, gdzie w ostatnim stuleciu jego poprzednicy arcybiskup Dunin i kardynałowie Ledóchowski i Hlond cierpieli prześladowanie, wygnanie i więzienie ze strony okupantów pruskich.

KS. BISKUP BARANIAK W BAZYLICE SALEZJAŃSKIEJ

Z okazji 70-letniej rocznicy konsekracji bazyliki Serca Jezusowego oo. salezjanie zaprosili ks. biskupa Baraniaka, męczennika za wiarę i Kościół, a zarazem członka i ozdobę swego zgromadzenia. Ks. Biskup był uroczyście wprowadzony w procesji do ołtarza Matki Boskiej Wspomożycielki, przy którym odprawiał jedyny raz Mszę św. Jan Bosko w dniu 16 maja 1887 roku. Ks. Baraniak celebrował uroczyste nabożeństwo, wygłosił podniosłe kazanie, w którym wyraził swą wdzięczność wobec Matki Bożej Wspomożycielki i św. Jana Bosko za uwolnienie z więzienia. wspomniał swe dawne studia tu w Rzymie i prosił gorąco chłopców i swych kolegów-księży o modlitwy za Polskę i za Zgromadzenia Salezjanów w Polsce, by szkoły i sierocińce salezjańskie zostały na nowo otwarte, by młodzież polska mogła znów korzystać z nauki wielkiego wychowawcy, św. Jana Bosko. (IC)

»OSSERVATORE ROMANO«

Poniedziałek-wtorek 27-28 maja: przemówienie Papieża (w języku włoskim) do prawników katolickich w sprawie pomocy chrześcijańskiej dla więźniów; opis uroczystości beatyfikacyjnej błog. Marii od Opatrzności.

Środa 29 maja: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do zakonnic zgromadzenia wspomożycielek dusz w czyśćcu cierpiących, założonego przez błog. Marię od Opatrzności; list Ojca św. (w języku łacińskim) do kardynała Karola Marii De La Torre, arcybiskupa Quito, z okazji 60 rocznicy jego święceń kapłańskich.

Czwartek 30 maja: artykuł na uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego o „Podwójnej obecności Chrystusa w Kościele"; list Ojca św. (w języku włoskim) do arcybiskupa Mediolanu Giovanni Battista Montini w sprawie stulecia urodzin papieża Piusa XI; okolicznościowy artykuł „Wyżyny duchowe Piusa XI".

Piątek 31 maja — sobota 1 czerwca: opis uroczystości wzięcia w posiadanie przez kardynała Wyszyńskiego jego tytułu kardynała-prezbitera kościoła Santa Maria in Trastevere.

Niedziela 2 czerwca: życzenia Papieżowi w dniu jego Patrona, św. Eugeniusza; artykuł: „Wiedza, polityka i ludzkie postępowanie wobec najpoważniejszego problemu dnia" (eksperymenty nuklearne).

Poniedziałek-wtorek 3-4 czerwca: tekst modlitwy ułożonej przez Papieża (w języku włoskim) dla pielgrzymki pracowników firmy FIAT do Lourdes; artykuł „Aspekty magisterium społecznego Piusa XII"; opis uroczystości otwarcia w bazylice Santa Maria sopra Minerva przez kardynała Wyszyńskiego obchodów 700-lecia śmierci św. Jacka.

ŚLUBY ZAKONNE KS. PRAŁATA CIEŃSKIEGO

W uroczystość Trójcy Przenajświętszej, 19 czerwca, w opactwie Matki Boskiej Łaskawej cystersów ściślejszej obserwacji (O.C.S.O.) w Bricquebec, 25 km od Cherbourga, złożył śluby zakonne po dwuletnim nowicjacie ks. prałat Włodzimierz Cieński, obecnie ojciec Włodzimierz. Bezpośrednio przed wstąpieniem do zakonu o. Włodzimierz był asystentem kościelnym naszego Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas, będąc równocześnie polskim proboszczem w Marsworth i asystentem Polskiego Instytutu Akcji Katolickiej.

W dzisiejszych czasach wiele osób wstępuje do zakonów kontemplacyjnych — i jest w tym Palec Boży, Bóg powołuje żarliwe dusze, by one za siebie i innych oddawały chwałę Bogu, która Mu należy się od całej ludzkości. Do tych dusz przybył o. Włodzimierz i mamy nadzieję, że i za nas, z którymi pracował, będzie Bogu oddawał chwałę i wypraszał nam łaski.

SPRAWY WYZNANIOWE

PROTESTANTYZM AMERYKAŃSKI W CHWILI OBECNEJ

Protestanci amerykańscy są rozbici na 256 sekt, lecz tak zwane wielkie tradycje protestanckie, jak luteranie, kalwini, metodyści i baptyści, stanowią prawie 90%, a łącznie 50 największych wyznań — to 92% wszystkich protestantów w Stanach Zjednoczonych. 35 milionów katolików amerykańskich w porównaniu z rozproszoną masą protestancką — to blok liczny i zwarty jednością doktryny, dyscypliny, ustroju i hierarchii. Pozostaje jednak smutnym faktem, że ponad jedna trzecia ze 160 milionów ludności Stanów nie przyznaje się do żadnego wyznania chrześcijańskiego i tonie w obojętności lub zupełnej niewiedzy religijnej.

Utrata wpływów i jej przyczyny. Wszyscy znający dobrze stosunki amerykańskie stwierdzają zgodnie, że w ciągu ostatnich lat 50 wpływy protestantyzmu w Stanach znacznie się zmniejszyły. Dotyczy to szczególnie wpływu prasy protestanckiej na opinię publiczną, oraz wpływu uniwersytetów, niektóre z nich zresztą wyrzekają się swego charakteru wyznaniowego dla ratowania swej pozycji i wpływu.

Znany teolog protestancki T. Wedel stwierdza, iż Stany Zjednoczone są jeszcze z imienia krajem chrześcijańskim, jest jednak zatrwożony kruchością podstaw tego chrześcijaństwa. Stwierdza on, nie bez goryczy, iż przeciętny Amerykanin zna lepiej „Reader's Digest" niż Biblię. Całą doktrynę protestancką sprowadzono do jakiejś altruistycznej „złotej reguły", do humanitaryzmu owianego bardzo mglistymi aluzjami chrześcijańskimi. Reszta zaś tonie w ignorancji religijnej.

Protestantyzm amerykański został odcięty od swych korzeni teologicznych, a moralistyka zastąpiła Objawienie. Ogłaszane drukiem zasady wiary są nieraz kompromitująco ubogie pod względem myśli. Tego rodzaju „chrześcijaństwo" polega na marzeniach o świecie żyjącym w pokoju i braterstwie, w oparciu o poszanowanie jednostki, ale te pojęcia nie mają podstaw religijnych, z których znaniowego dla ratowania swej pozycji i wyszły.

Dążność do odrodzenia. W tym stanie rzeczy zarysowują się dość wyraźnie pewne dążenia do odrodzenia protestantyzmu amerykańskiego. Wyrażają się one głównie w ogólnym żądaniu, aby młodzież powróciła do podstaw, które nieopatrznie odrzucili ojcowie. Ten współczesny protestantyzm rozproszony, pełen ignorancji i oderwany od swych korzeni, pragnie się odnaleźć w trzech dziedzinach: w powrocie do teologii, w bardziej zindywidualizowanych metodach ewangelizacji i w kulcie religijnym.

Powrót do teologii. Powrót do doktryny daje się zauważyć przede wszystkim w staraniach o gruntowniejsze wykształcenie teologiczne młodych pastorów w seminariach i na uniwersytetach. Co prawda nie braknie tu dobrych teologów protestanckich, ale nie mają oni wpływu na życie religijne.

Po ostatniej wojnie zaznacza się i wśród wiernych dążenie do ozdobywania pełniejszej i bardziej podstawowej formacji religijnej i to znajduje się swój wyraz w żądaniach kierowanych do kaznodziei, aby dawali w kazaniach więcej podstaw doktrynalnych. Biorą też świeccy udział w kursach religijnych, urządzają konferencje itp. Widać ogólną troskę o przeniesienie punktu ciężkości w tych studiach z Pisma Świętego i egzegezy tj. jego tłumaczenia — na fundamenty teologiczne nauki chrześcijańskiej.

Nowe metody ewangelizacji. Prawie powszechną przyjętą zasadą ewangelizacji, która w Ameryce przybiera nieraz bardzo rozmaite formy, była tak zwana Social Gospel, a więc metoda kolektywna, zbiorowa, a nawet masowa. Wiązano z nią nadzieje przemiany społecznej przez religię. Ostatnio coraz częściej słychać głosy upominające się o jednostkę, mówi się nawet o apostolstwie indywidualnym i o działaniu w małych grupach. Oczywiście, nie bez wpływu pozostają nadal metody masowej ewangelizacji, takie jak znanego Billy Grahama.

Jeśli zaś chodzi o sentymentalizm i emocjonalizm w rozmaitych formach ewangelizacji, to trzeba pamiętać, iż stanowi on raczej pewną, tkwiącą w charakterze Amerykanów, reakcję na suche i formalistyczne chrześcijaństwo niektórych kół protestanckich. Tym się też tłumaczy powstawanie niektórych, często efemerycznych, dziwacznych i fantastycznych sekt.

Powrót do kultu i liturgii. Najbardziej interesujący objaw odrodzenia stanowi ewolucja w samym pojęciu i praktykowaniu kultu.

Aby ją w pełni ocenić, trzeba sobie uprzytomnić, że w większości kościołów protestanckich całe nabożeństwo polega na czytaniu Pisma Świętego, śpiewaniu hymnów i słuchaniu kazań. Nabożeństwo takie nie zwraca się ku Bogu, aby Mu oddać chwałę, ale raczej ma na celu zbudowanie człowieka, jest antropocentryczne. Ponadto kult ten jest czysto werbalny, słowny; brak w nim obrazów, posągów, często muzyki, ceremoniału.

Takie zamknięcie się w jednej formie werbalnego symbolizmu, zawiera pewne niebezpieczeństwa, gdy np. cały punkt ciężkości spoczywa na osobie pastora i na jego walorach, może to wiernym grozić poważnym rozczarowaniem.

Inna forma werbalna koncentruje się cała na czytaniu Pisma Świętego, ale wielu spośród protestantów zdaje sobie dziś sprawę z tego, że wartość Pisma Świętego leży w tym, że wyraża ono ogólny plan Boży wobec człowieka. Liczni też rozumieją, że istotą Dobrej Nowiny jest nie święta księga, ale sam Chrystus.

Jeszcze inna postać kultu polega na postawie prawie mistycznej, na skupieniu, a nawet na milczeniu, jak np. na zebraniach kwakrów.

W końcu jest forma kultu protestanckiego, której ośrodkiem jest nabożeństwo z komunią. — I tu właśnie można najłatwiej zauważyć ruch odrodzeńczy. Wielu z protestantów odkryło na nowo, że pamiątka Ostatniej Wieczerzy jest od czasów apostolskich normalną i tradycyjną postacią kultu. A tymczasem w wielu zborach nabożeństwo słowne odsunęło na plan dalszy sakrament i komunię, rozdawaną tylko kilka razy do roku. Obecnie zwolna powraca się do liturgii sakramentalnej, a Wieczerzę odprawia się już raz na miesiąc lub nawet co niedzielę.

Te dążenia można zauważyć nawet u dotychczas mało się tym interesujących metodystów, którzy budują gotyckie zbory, starają się o muzykę kościelną i których pastorzy przywdziewają szaty liturgiczne a wierni klękają i wstają w czasie nabożeństw.

Groźne podziały. Nie tylko podział na tak liczne sekty trapi protestantyzm amerykański, ale nawet w obrębie samych Kościołów tradycyjnych dokonują się rozmaite rozłamy i podziały na grupy. Pod tym względem ruchliwość amerykańska jest wprost dla nas niezrozumiała. Wielu ludzi, gdy dorosną — nie pozostają w Kościele, w którym się urodzili, wybierają sobie taki, który się im więcej podoba, lub im bardziej z jakichś względów odpowiada. Wielu może nieświadomie szuka w Kościele pewnego rodzaju „klubu duchowego" i kieruje się nie względami doktryny, ale raczej towarzyskimi. Chrześcijanie amerykańscy bowiem mają dążność do dobierania się według klas społecznych i nawet, gdy chcą uczcić Boga, wolą to czynić w środowisku, które im jest znane i bliskie.

Pomimo jednak tej ruchliwości wielu amerykańskich protestantów przestrzega swej lojalności wobec grupy religijnej, w której się urodzili i wychowali; jest to jednak raczej właściwość indywidualna, a nie płynie to z poczucia jakiejś wspólnej tradycji chrześcijańskiej.

Lecz i ruch skupiający. Istnieją jednak w łonie protestantyzmu amerykańskiego poważne dążności jednoczące i skupiające wysiłki, lub je co najmniej koordynujące. Wyrażają się one przede wszystkim w udziale delega-

(Dokończenie na str. 12)

(Dane faktyczne zaczerpnięte z artykułu o. J. W. Saatmana, T.J. w „Nouvelle Revue Théologique" — maj 1956.)

GŁÓWNE KOŚCIOŁY PROTESTANCKIE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Baptyści — 18.500.000 wiernych dorosłych. W ogóle na świecie jest ich 22 miliony, z tego ok. 3 miliony w Rosji. Do Ameryki przybyli w roku 1640 i obecnie stanowią tam jedną trzecią wszystkich protestantów.

Metodyści — 11.700.000 dorosłych. Razem na świecie mają 16 milionów wiernych. Metodyści stanowią odłam Kościoła anglikańskiego, utworzony w XVIII wieku w Anglii przez Johna Wesley'a.

Luteranie — 7.000.000 wiernych, dorosłych i dzieci. W całym świecie jest ich 70 milionów i wciąż stanowią w świecie protestanckim najważniejszą grupę. Do USA przybyli w roku 1623.

Prezbiterianie — 3.700.000 dorosłych wyznawców. W świecie jest ich 41 milionów. Jest to grupa, która się oderwała od kalwinów. Do Stanów Zjednoczonych przybyli w roku 1623 i stanowią tu odpowiednik tzw. reformowanych w Szwajcarii, Holandii, Niemczech, Francji i na Węgrzech.

Episkopalianie — autonomiczna amerykańska gałąź anglikanizmu — mają 2.700.000 wyznawców, dorosłych i dzieci. W świecie jest ich 30 milionów. Przybyli do USA w roku 1607. Wierzą w następstwo apostołów i mają mszę.

„Uczniowie Chrystusa" — 1.900.000 wyznawców dorosłych, poza Stanami Zjednocz. jest ich jeszcze 1.100.000. Powstali w początkach wieku XIX, w okresie usiłowań położenia kresu sekciarskim podziałom w kościołach amerykańskich.

Mormoni, czyli Kościół Świętych Dnia Ostatniego — 1.300.000, poza Stanami Zjedn. jest ich jeszcze ok. 300 tysięcy. Sekta ta powstała w Stanach Zjednoczonych w roku 1830.

Kongregacjonaliści — 1.300.000 dorosłych; ogółem na świecie jest ich 2 i pół miliona. Jest to odłam anglikański; sprowadzili ich do Stanów Zjedn. purytanie w XVII wieku. Przez jakiś czas wyznanie ich stanowiło rodzaj religii państwowej w koloniach amerykańskich.

KRYZYS NA FLEET STREET

W dniu 1 czerwca ukazał się ostatni numer „Picture Post", najpopularniejszego angielskiego tygodnika ilustrowanego. Pisaliśmy parę miesięcy temu w ŻYCIU (w nrze 9 z bież. roku) o konkurencji, jaką dla ilustracyj brytyjskich stworzyła telewizja, i o niedającym się pokonać, mimo wszystkich wysiłków wydających je przedsiębiorstw, co raz gwałtowniejszym spadku nakładu, który dotknął nie tylko „Picture Post", ale i inne tygodniki ilustrowane. Oczywiście konkurencja telewizji (w chwili obecnej jest w Wielkiej Brytanii już 5 milionów aparatów telewizyjnych) nie jest jedyną przyczyną trudności, w jakie popadły wydawnictwa czasopism ilustrowanych. Nie wiadomo nawet, czy jest przyczyną najważniejszą. Wskazuje na to fakt, że np. znany tygodnik amerykański „Life", redagowany w podobny sposób jak „Picture Post", mimo olbrzymiej w Stanach Zjednoczonych konkurencji telewizji, nie tylko w tym samym czasie zdołał utrzymać swój nakład, ale jeszcze go powiększył. Drugą główną przyczyną trudności materialnych, w jakie popadły nie tylko ilustracje, ale i niektóre dzienniki brytyjskie, są, wedle powszechnie wypowiadanej opinii, wysokie ceny papieru gazetowego. Są one wysokie w porównaniu z taniością dzienników i czasopism. Obliczono, że o ile cena papieru gazetowego wzrosła od chwili wybuchu wojny nie mniej niż sześciokrotnie, o tyle wielkie dzienniki popularne podniosły cenę egzemplarza tylko dwukrotnie, z jednego do dwóch pensów.

Dlaczego nie podnosi się cen gazet? Najprostszym pozornie wyjściem byłoby dostosować cenę dzienników i tygodników do wzrastających kosztów produkcji. W praktyce jest to jednak bardzo trudne. Z powodu wysokich kosztów wydawniczych prasa brytyjska swą egzystencję i dochody musi w dużym stopniu opierać na ogłoszeniach. Taki np. „Daily Express", bijący 4 miliony egzemplarzy, ma — wedle ogłoszonych danych — prawie 200 tysięcy funtów tygodniowych wpływów z samych ogłoszeń. Bardzo wysokie, choć niższe od „Daily Heralda" wpływy z tego źródła ma też np. „Daily Mirror", bijący 5 milionów egzemplarzy. Dochody te spadłyby od razu, gdyby podwyższono cenę sprzedażną pism, gdyż automatycznie zredukowałoby to liczbę ich odbiorców, a to z kolei zmniejszyłoby ilość ogłoszeń, gdyż ogłaszający kierują się przede wszystkim wysokością nakładu danego pisma. Powstaje tu rodzaj błędnego koła.

Upadek prasy prowincjonalnej. Okoliczności te — jak łatwo wywnioskować — działają specjalnie na szkodę mniejszych i słabszych materialnie wydawnictw. Ofiarą ich pada przede wszystkim samodzielna prasa prowincjonalna, która i tak cierpi na skutek konkurencji pism prowincjonalnych, będących własnością wielkich koncernów londyńskich, oraz samychże pism londyńskich, pod każdym względem lepiej wyposażonych i drukujących specjalne mutacje dla miast prowincjonalnych. Znamiennym przejawem tego upadku prasy prowincjonalnej było w ostatnich czasach zawieszenie takich dzienników, posiadających za sobą tradycje długich dziesiątków lat, jak „Birmingham Gazette" i „Yorkshire Observer".

Wszystko — zdaniem kompetentnych obserwatorów — wskazuje na to, że liczba brytyjskich dzienników prowincjonalnych, których jest obecnie 135, spadnie poniżej 100.

Sytuacja na Fleet Street. Pozornie sytuacja prasy w Wielkiej Brytanii jest bardzo korzystna. W żadnym kraju świata nie ma tylu czytelników gazet, co właśnie tutaj. Na każdy tysiąc mieszkańców wysp brytyjskich wypada 600 egzemplarzy gazet, podczas gdy w Australii 440, a w Stanach Zjednoczonych 350. W żadnym kraju też łączny nakład wielkich dzienników popularnych nie jest tak wysoki jak w Wielkiej Brytanii. Maszyny rotacyjne siedmiu dzienników londyńskich o nakładzie przekraczającym milion, rzucają codziennie na rynek 17 milionów egzemplarzy, w niedzielę zaś nawet 26 milionów egzemplarzy. Do tego doliczyć trzeba milionowe nakłady trzech londyńskich dzienników wieczornych („Evening News", „Evening Standard" i „Star".

Mimo to mnożą się objawy rzucające cień na ten stan rzeczy. Jednym z nich jest wspomniany powyżej upadek prasy prowincjonalnej oraz ciężka sytuacja, w jaką dostały się tygodniki ilustrowane, której ofiarą padły „Picture Post". Ale i w sytuacji codziennej prasy londyńskiej nie brak objawów, które wywołują alarmujące często komentarze na Fleet Street. Prasa ta znajduje się w rękach siedmiu wielkich firm, do których należy też poza wydawnictwami londyńskimi szereg pism prowincjonalnych. Główną wśród nich pozycję zajmują grupy: grupa lorda Beaverbrooka z „Daily Expressem" na czele, grupa lorda Kemsleya, wydająca w Londynie tylko „Sunday Times", ale posiadająca szereg pism prowincjonalnych, dalej grupa lorda Rothermere z szeregiem londyńskich pism codziennych i niedzielnych oraz grupa „Daily Mirror". Wybitną pozycję zajmuje też „Daily Telegraph", będący w rękach lorda Camrose, bratanka lorda Kemsleya.

Specjalną pozycję w prasie brytyjskiej zajmują „Times" i „Manchester Guardian" — dzienniki, poświęcone głównie polityce krajowej i zagranicznej i obliczone na czytelników zajmujących się tymi zagadnieniami, co z natury rzeczy zwężać musi ich zasięg. Nakład obu tych pism nie sięga 300 tysięcy, co jest za mało, by mogły one być obliczone na zysk tym bardziej, że wysoki ich poziom i kosztowny zespół współpracowników i korespondentów zwiększa wydatki wydawnicze.

Ostatnio rozchodzą się pogłoski o bliskiej jakoby fuzji dwóch dzienników londyńskich, o nakładach ponad milion, ale nie posiadających takich mocnych pozycji co wspomniane wyżej pisma lordów prasowych. Chodzi o liberalną „News Chronicle" i o „Daily Herald", organ Partii Pracy. Pogłoski wywołały dużą konfuzję w kołach laburzystowskich i T.U.C. (Centrali Związków Zawodowych); w kołach tych podkreśla się, że Labour Party musi posiadać dziennik, w którym mogłaby zupełnie swobodnie wypowiadać i propagować swe opinie i poglądy, co nie byłoby możliwe w razie połączenia z pismem innego charakteru.

Jak stwierdza „New Statesman and Nation", w ciągu ostatnich dziesięciu lat „Daily Herald" i „News Chronicle" straciły łącznie 1.150.000 czytelników. W tym samym czasie „Daily Telegraph" zwiększył swój nakład o ponad 100.000, „Daily Express" o prawie ćwierć miliona, a „Daily Mirror" o prawie milion. W związku z tym „New Statesman and Nation" robi uwagę, że w obecnym okresie ludzie przy kupowaniu gazety porannej mniej niż dawniej kierują się względami na politykę partyjną. Nie znaczy to oczywiście, by nie woleli mieć gazety, która z grubsza przynajmniej wyraża zbliżone do ich własnych poglądy, ale mimo to decydujący wpływ posiada to, co autor nazywa indywidualnym charakterem („personality") pisma. Otóż dziennikami, które w ciągu ostatnich 25 lat zdobyły sobie wyróżniającą się i przyciągającą ludzi pozycję, są właśnie „Daily Telegraph", „Daily Express" i „Daily Mirror"; do ich handlowego sukcesu przyczyniło się w dodatku świetne kierownictwo handlowe i administracyjne, którego często brak innym pismom.

Pogłoski o połączeniu „Daily Herald" i „News Chronicle" stały się na razie mniej uporczywe, ale „New Statesman and Nation", stwierdza, że fuzja ta nadal jest przedmiotem dyskusji.

Ogólne refleksje, jakie w związku z tym wszystkim są wypowiadane, mają charakter melancholijny. Stwierdza się mianowicie, że w miarę upadku słabszych pism czytelnicy będą mieli coraz mniej wyboru i coraz bardziej będą skazani na tę strawę, jaką przynosić im będą pozostałe na placu — „olbrzymy" prasowe. Nie jest to z pewnością korzystne dla swobodnego kształtowania się demokratycznej opinii publicznej.

ROLA WYCHOWAWCZA KAROLA SZYMANOWSKIEGO

Napisała Stefania Niekraszowa

Karol Szymanowski był nie tylko wielkim artystą, myślicielem, filozofem, poetą, literatem, eseistą, społecznikiem, współtwórcą reformy szkolnictwa muzycznego, ale głównie był on przewodnikiem i wychowawcą młodych kompozytorów polskich.

Rola wychowawcza Szymanowskiego w stosunku do następnych pokoleń jest olbrzymia. Jest on bowiem wzorem i drogowskazem muzyki wyrosłej na polskich tradycjach, o poziomie techniki europejskiej.

Młodzież garnęła się do Karola Szymanowskiego, który z całą gotowością służył jej swoją wiedzą i doświadczeniem. Pomagał też młodym kompozytorom odnaleźć właściwą drogę ich artystycznego rozwoju. Uczył jak należy wpływać na podniesienie smaku artystycznego w Polsce, jak wywalczać zrozumienie dla nowej sztuki. Uczył z całym zapałem umiłowania ideałów muzyki współczesnej.

Nie należy też zapominać, iż Szymanowski genialnością swej awangardowej muzyki zdołał zahypnotyzować i porwać współczesną i następną generację muzyków polskich i dzięki temu wywołał nieobliczalne wprost zmiany percepcji u słuchacza polskiego, niezdolnego przedtem do zrozumienia jakiejkolwiek trudniejszej muzyki współczesnej.

Jako kompozytor narodowy, pogłębiał piękno polskiej muzyki przez stosowanie nowoczesnej techniki muzycznej.

Jako wychowawca nowego pokolenia muzyków, ma ogromne poczucie odpowiedzialności za przyszłe losy muzyki polskiej, o czym wiemy z jego prac i licznych wypowiedzi.

W 1926 roku Ministerstwo Oświaty proponuje Szymanowskiemu objęcie stanowiska dyrektora Warszawskiego Konserwatorium. W tym samym czasie władze Egiptu, mając na względzie głęboką wiedzę muzyczną Szymanowskiego, oraz jego znajomość muzyki orientalnej — zapraszają kompozytora na takąż godność do Kairu. Propozycja była kusząca, klimat Egiptu zbawienny, warunki materialne świetne. Szymanowski odmawia jednak wyjazdu, poczuwając się do normalnego obowiązku służenia kulturze muzycznej własnego kraju.

Będąc dyrektorem Warszawskiego Konserwatorium, w myśl potrzeby zapoznania młodych studentów ze zdobyczami muzyki współczesnej, mawiał: „Celem naszym jest nie w c z o r a j, lecz d z i ś i j u t r o".

Niestety, elementy zbyt konserwatywne przeszkadzały mu w dążeniu po obranej linii.

Wyczerpany trzyletnią walką o swe idee postępu w muzyce rezygnuje ze stanowiska dyrektora.

Pracę w konserwatorium odpokutował ciężką gruźlicą płuc i niemal roczną kuracją w Davos.

W ciszy sanatorium analizuje przyczyny obojętności naszych państwowych władz dla spraw muzyki, obojętności wynikającej — jego zdaniem — z braku zrozumienia etycznego oddziaływania sztuki.

„Zapomniano — mówi Szymanowski — że muzyka to potężna broń przeciw ciemnocie i barbarzyństwu mas, że muzyka to istotny pokarm duchowy, o największej ilości ożywczych witamin."

W Davos, w okresie kuracji, Szymanowski konkretyzuje swe rewelacyjne poglądy w ramach książki: „Wychowawcza rola kultury muzycznej", wydanej w Warszawie w roku 1930.

Nikt dotąd z polskich muzykologów nie ujął głębiej zagadnienia muzyki na płaszczyźnie społecznej. Powszechne u nas lekceważenie spraw muzycznych — pisze Szymanowski — jest zastanawiające i niezrozumiałe wobec niewątpliwego faktu, że muzyka wywiera dziś niezrównanie większy wpływ niż literatura i plastyka. Dzieje ludzkości, to właściwie dzieje sztuki." „Muzyka odegrała w dziejach naszych wielką i dobroczynną rolę —przypomina dalej autor. — Należy się tej muzyce od narodu i państwa wdzięczność, opieka i poparcie".



KAROL SZYMANOWSKI
w wieku chłopięcym



KAROL SZYMANOWSKI
w roku 1911

Wiele uwag poświęca Szymanowski problemom umuzykalniania ogółu, przez udostępnianie najlepszej, pełnowartościowej muzyki.

„Wysokiego poziomu muzyka wpływa na wysubtelnienie wrażliwości ludzkich, ułatwia zrozumienie etycznej istoty życia." Muzyka bezwartościowa działa wprost przeciwnie. „Nie zapominajmy również — mówi Szymanowski — że dzieje muzyki są nierozerwalnie związane z chrześcijaństwem." W zaraniu historii człowieka idea bezinteresowności objawia się przede wszystkim w muzyce.

Walory muzyki pokreśla również pierwiastek „jednoczący" i organizujący (zespoły chóralne, orkiestrowe, opery itp.). „System wychowania społecznego powinien opierać się na dominujących właściwościach muzyki; jej powszechności i sile jednoczącej."

Kształcenie wyłącznie naukowe nie wypełni całkowitego zadania w rozwoju kultury duchowej społeczeństwa. — „Zasady etyczne daje nam sztuka." Nie wystarczy nawet najgłębsze ujęcie estetycznych jedynie zagadnień, skoro pominęlibyśmy pierwiastek etyczny, wiążący na każdym polu jednostkę z ogółem, określający nie tylko jej prawa, ale i obowiązki. „Sztuka jest potężną dźwignią podnoszącą i uszlachetniającą poziom duchowego życia narodu." Niestety, współczesna muzyka i sztuka była w Polsce uważana za jakiś „luksus" niepotrzebny, pozostawiony samemu sobie.

Szymanowski jednak wierzył głęboko, iż w Polsce nastąpi prawdziwa wolność i rozkwit wszystkich sił narodowych.

Po powrocie z Davos do Warszawy przeprowadza prace nad reformą szkolnictwa muzycznego w Polsce, oraz z pomocą Janusza Mikety organizuje pierwszą Akademię Muzyczną. Na uroczystość otwarcia tej najwyższej uczelni muzycznej komponuje „Veni Creator" do słów Wyspiańskiego (na orkiestrę, chór i głosy solowe).

Obejmuje z wyboru stanowisko rektora tej Akademii z tytułem „magnificencji". W przemówieniu rektorskim wskazuje w pierwszym rzędzie na Chopina, jako na wzniosły wzór polskiego muzyka, który do końca swego życia mówił całemu światu, najpiękniejszym na świecie językiem swojej muzyki o mocy, niespożytości i głębi polskiego twórczego ducha.

Historia zaliczy niewątpliwie Karola Szymanowskiego do kompozytorów narodowych, choć stosunek jego do tradycji polskich był bardziej skomplikowany niż Chopina.

Twórczość Szymanowskiego jest testamentem nas obowiązującej „woli czynu" — dążenia ku wartościom wyższym, które tylko godne są „wielkiej sztuki" i prowadzą ludzkość ku ideałom piękna, dobra, poznania i prawdy.

Ideał sztuki był dla Szymanowskiego ideałem społecznym i patriotycznym, co potwierdza w swym ostatnim „Credo":

„Chciałbym dać wyraz najbardziej istotnym mym pragnieniom i poczuciom: „oto by w przyszłości, gdy duch polski w atmosferze bezwzględnej, z krwawym trudem odzyskanej wolności, zabrzmi na świat cały mocnym, najbardziej harmonijnym akordem swoistej narodowej kultury, by wówczas nam, muzykom polskim, dane było stwierdzić z dumą i radością, iż w owym idealnym zespole narodowej mocy nie brakło i naszych wysiłków, prac i spełnionych wreszcie marzeń".

Stefania Niekraszowa

SPOTKANIE Z ADLAI STEVENSONEM

„Leader" partii demokratycznej, dwukrotny kandydat w r. 1952 i 1956 na prezydenta Stanów Zjednoczonych, b. gubernator stanu Illinois, Adlai Stevenson — niewątpliwie jeden z najinteligentniejszych Amerykanów — znowu podróżuje. Celem jego obecnej podróży jest Afryka i jej nowe niepodległe kraje. W przejeździe przez wyspy brytyjskie, był gościem „English-speaking Union", a w Oksfordzie otrzymał honorowy doktorat prawa cywilnego. Na przyjęciu w ESU zgodził się bardzo życzliwie przyjąć przedstawiciela ŻYCIA; oto streszczenie z rozmowy z Adlai Stevensonem w hotelu Claridge.



Adlai Stevenson po otrzymaniu honorowego doktoratu prawa cywilnego w Oksfordzie

Pierwsze pytanie dotyczy pomocy gospodarczej dla Polski: „Czy jest Pan zwolennikiem udzielenia Polsce pomocy gospodarczej przez Amerykę? Czy zgodzi się Pan, że wahania i opóźnienia w sprawie udzielenia pomocy, znacznej i na dogodnych dla Polski warunkach, ułatwia Związkowi Sowieckiemu wywieranie nacisku na Polskę w kierunku odbierania narodowi tych osiągnięć, jakie wywalczył sobie w „pokojowej rewolucji październikowej"?

Odpowiedź pada natychmiast i z przekonaniem: „Jestem gorącym zwolennikiem pomocy gospodarczej dla Polski. Ameryka powinna dać Polsce pomoc wydatną. Jeżeli nie pomożemy narodowi polskiemu teraz, tracimy okazję przyczynienia się do przemian, które mogą prowadzić na drodze pokojowej do niezależności politycznej i gospodarczej. Udzielanie pomocy potrzebującym leży w interesie Ameryki, bo służy sprawie pokoju i umacnia zbiorowe bezpieczeństwo gospodarcze i polityczne w świecie".

Rozmowa przechodzi na problem „wyzwalania się etapami" i wiążące się z tym zagadnieniem koncepcje neutralizacji obszaru Europy środkowej i wschodniej. Mówię o niepokoju, jaki u Polaków wywołuje wysuwanie sprawy zjednoczenia Niemiec jako „najważniejszego i... jedynego" problemu, o załatwienie którego Zachód występuje wobec Rosji. Naświetlam stosunki polsko-niemieckie i ich specjalne znaczenie w obecnym „popaździernikowym" okresie.

P. Stevenson zwraca uwagę na niebezpieczeństwo, jakie wiąże się z obecną sytuacją w Europie. „...Groźbie wojny lub przewlekłego i wyczerpującego konfliktu należy przeciwstawić pokojowe i stopniowe osiągnięcie wolności przez narody jej pozbawione... Wysuwanie przez mocarstwa zachodnie projektów uniezależnienia i zarazem neutralizacji krajów Europy środkowo-wschodniej daje chociażby tę korzyść, że odmowa ze strony Sowietów odsłania ich rzeczywiste intencje..."

Następuje dłuższe rozwinięcie poglądów na sprawy europejskie: „...Stale podkreślam — mówi Stevenson — wielką i pilną potrzebę dojścia do porozumienia z Rosjanami w sprawie Europy. Być może, iż nie jesteśmy dalecy od przeorganizowania powojennego układu europejskiego. Rozwiązania oparte o podział Europy, zwłaszcza o podział najliczniejszego narodu europejskiego, były zawsze nietrwałe. Stają się one tym bardziej nierzeczowe, gdy zachodnie Niemcy odzyskują poczucie siły oraz gdy narasta wrzenie wśród europejskich satelitów Rosji. Stoimy wobec niebezpieczeństwa nowych antysowieckich wybuchów we wschodniej Europie. Te wybuchy mogą sprowokować sowiecką interwencję, która spowoduje „przeciw-interwencję", aż dojść możemy do ogólnego konfliktu z użyciem broni atomowych. Oto przerażający czynnik w analizie sytuacji i nowa groźba w naprężonej i tak już sytuacji europejskiego kontynentu.

W tych warunkach jest nie tylko naturalne, ale po prostu konieczne, by zachodni politycy rozważali możliwości zjednoczenia Niemiec i pokojowego wyzwolenia Europy środkowo - wschodniej w drodze układów. Jeżeli jednak jakiś nowy ogólno-europejski układ nie ma przynieść w rezultacie niebezpiecznego osłabienia Zachodu i zamieszania, musi on być mocno wsparty najściślejszym, stałym i niewzruszalnym przymierzem amerykańsko - brytyjskim. Ameryka musi się czuć połączona stalowymi więzami wspólnego losu z Europą... Koncepcje jakiejś „trzeciej siły", organizowanej bez udziału Stanów Zjednoczonych, nie stworzą potęgi zdolnej do przeciwstawienia się potędze sowieckiej. Taka „trzecia siła" nie potrafiłaby zapewne również uchronić Niemiec przed szaleńczą pokusą bezpośrednich porozumień z rosyjskim kolosem..."

Proszę przywódcę amerykańskich demokratów o „słowo do Polaków":

„Pochodzę z Chicago — pada odpowiedź — gdzie nasze związki ze społecznością polską są silne, braterskie. Odczuwamy serdecznie cierpienia Polski, rozumiemy jej pragnienia, pamiętamy i nie zapomnimy o naszych postanowieniach, by nie spocząć póki nie zostanie osiągnięte pełne wyzwolenie narodu polskiego. Z podziwem i uznaniem widzimy, że wasz naród nie trwoni sił w porywach dramatycznego heroizmu, ale wykazuje trzeźwe poczucie odpowiedzialności..."

Adlai Stevenson prosi o przekazanie najlepszych życzeń dla „polskich przyjaciół".

Dziękuję i odwzajemniam się życzeniami.

Uczestniczącemu w rozmowie współpracownikowi Gubernatora, p. William'owi Blair, wręczam garść materiałów w sprawach polskich, wśród nich pierwszy numer kwartalnika „Poland & Germany".

S. G.

PROTESTANTYZM AMERYKAŃSKI

(Dokończenie ze str. 10)

tów amerykańskich w międzynarodowych kongresach ekumenicznych, jak np. w Lund czy Evanston. Jednak Amerykanie mniej się interesują na kongresach sprawami teologicznymi, niż ich współwyznawcy europejscy lub prawosławni. Ale w samej Ameryce też istnieje ruch unijny, którego wyrazem są inicjatywy podejmowane już to przez poszczególne Kościoły tradycyjne, już to przez grupy lokalne należące do rozmaitych sekt, już to przez Narodową Radę Kościołów. Wynikiem ich jest połączenie się wielu grup w łonie samych Kościołów oraz szereg porozumień zawartych w sprawie nauczania dzieci religii. Ujemną stroną tych inicjatyw jest rosnąca biurokracja, która odrywa pastorów od opieki nad wiernymi.

Oznaki odrodzenia wśród protestantów amerykańskich są jednak mimo wszystko rzeczywiste, a dążenie do niego i do jedności szczere. Poważni teologowie protestanccy są zdania, że dążenie do odnowienia życia religijnego jest „znakiem nadziei w beznadziejnym stuleciu".

My katolicy możemy się tylko cieszyć z tego, gdyż wszelkie odrodzenie życia religijnego i dążenie do jedności przyśpiesza chwilę prawdziwego zjednoczenia całej owczarni Chrystusowej pod jednym pasterzem.

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

AMERYKA

ZNOWU POŁUDNIE PRZECIW PÓŁNOCY

Trzy lata temu, w dniu 17 maja 1954, Najwyższy Sąd Federalny Stanów Zjednoczonych pod przewodnictwem sędziego Earla Warrena wydał orzeczenie wielkiej wagi w całym życiu olbrzymiego kraju. Orzeczenie to stwierdza, że przymusowy rozdział rasowy w szkołach sprzeczny jest z konstytucją amerykańską. Żadnemu obywatelowi amerykańskiemu nie może być odmówiona równa ochrona prawa. Obowiązująca od roku 1896 doktryna „osobno, ale na równych prawach" została przez najwyższą instancję prawną kraju unieważniona, gdyż wspomniane orzeczenie ustala, że „rozdzielone przymusowo urządzenia wychowawcze są same w sobie nierówne".

Orzeczenie to zostało zaraz wyzyskane przez dyplomację amerykańską w stosunku do ludów azjatyckich i afrykańskich dla wykazania, że w Stanach Zjednoczonych różnice rasowe nie przynoszą uszczerbku żadnej grupie obywateli. W „zimnej wojnie" był to duży sukces ideologiczny. Przedstawiciel murzyńskiej organizacji aktywistycznej NAACP — sam Murzyn, który w trybunale reprezentował stanowisko swej rasy — mógł teraz tryumfalnie oświadczyć: „Rozstrzygnięcie to potępia kłamstwa propagandy komunistycznej".

Takie też stanowisko zajęła opinia publiczna przeważającej części kraju, zwłaszcza na północy i w stanach środkowych. Ale na Południu wywołało ono gwałtowną reakcję, która ogarnęła wielką część ludności białej. Znowu odnowiły się rany wojny lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, które jakoś nie mogą się zabliźnić.

Wędrówki Murzynów. W chwili obecnej żyje w Stanach Zjednoczonych ponad 15 milionów Murzynów, którzy stanowią więc jedną dziesiątą część całego zaludnienia kraju. Rozmieszczenie ich jest inne niż było jeszcze niedawno. Pół wieku temu, w roku 1900, 90% całej ludności murzyńskiej mieszkało w stanach południowych, z tego zaś 3/4 żyło w wiejskich okręgach plantacyjnych. Dzisiaj tylko nieco ponad 1/3 część (około 6 milionów) Murzynów żyje jeszcze w stanach południowych na wsi, 1/3 w miastach tych stanów, a pozostała 1/3 znalazła się w miastach stanów północnych.

Zdumiewająco szybka industrializacja Południa, jaka dokonała się w ciągu ostatniego dziesięciolecia i zapoczątkowana została przez przeniesienie tam zakładów zbrojeniowych w czasie drugiej wojny światowej, ściągnęła do rosnących gwałtownie miast ogromne ilości Murzynów ze wsi, choć mniej niż imigrantów białych. Jedną z głównych przyczyn ten migracji jest mechanizacja rolnictwa, która pozbawiła chleba rzesze ubogich robotników rolnych, zarówno białych jak czarnych. Robotnicy ci są mało kwalifikowani do bardziej skomplikowanych prac w przemyśle, ale kwalifikacje ich dzieci mogą być już całkiem inne.

Reakcje ludności białej. Te przemiany w stosunkach społecznych i gospodarczych nie zmieniły jednak na Południu tradycyjnego dążenia większości ludności białej do rozdziału rasowego, przypominającego południowo - afrykańską zasadę „apartheid", nie idącego jednak tak daleko. Stany Południa: Wirginia, Karolina Północna i Południowa, Georgia, Alabama, Mississipi, Louisiana i Floryda prowadzą zorganizowany opór przeciw stanowisku władz centralnych. Cztery stany Południa: Arkansas, Delaware, Tennessee i Teksas są podzielone na hrabstwa; niektóre z tych hrabstw postanowiły zachować rozdział rasowy w szkołach, inne go zniosły. Wreszcie pięć stanów, położonych na północnym krańcu Południa, mianowicie Kentucky, Maryland, Missouri, Oklahoma, Wirginia Zachodnia, a także stolica federalna Waszyngton zniosły rozdział i w ten sposób otworzyły zamknięte do tej pory bramy szkolne ćwierć milionowi murzyńskich dzieci szkolnych, które do tej pory pobierać mogły naukę tylko w szkołach dla czarnych.

Zasadniczo na całym prawie Południu żyje — jak wykazały ostatnie wydarzenia — duch dawnej warstwy plantatorów, która stworzyła pełen uroku styl życia, nie potrafiła się jednak dostosować do nowoczesnych warunków i wymogów społecznych.

Reakcja przybrała różne postacie, najbardziej znamienną jednak jest powstanie na całym Południu tzw. rad obywatelskich, mających na celu koordynowanie akcji oporu. Ruch ten zrodził się w delcie Mississipi wkrótce po orzeczeniu Sądu Najwyższego. Szereg wybitnych obywateli hrabstwa Sunflower zeszło się wtedy na zebranie założycielskie; pod koniec roku 1954 istniał już potężny ruch w stanach Mississipi, Alabama i Karolina Południowa, skąd rozszerzył się na inne stany, skupiając setki tysięcy członków. Kierownictwo ruchu związane jest z przywódcami politycznymi poszczególnych stanów; wchodzą do niego często np. senatorowie stanowi.

Ruch „rad obywatelskich" kładzie duży nacisk na to, by działać w ramach legalnych. Może on tak postępować, gdyż w rękach jego leży tworzenie ustaw stanowych, ograniczających uprawnienia Murzynów. Równocześnie jednak rozkołysane namiętności wyładowują się u elementów bardziej fanatycznych w sposób radykalniejszy, np. przez odżycie tajnej organizacji Ku-Klux-Klan. Przywódcy „rad obywatelskich" odcinają się wszelako od metod tej organizacji.

Wystąpienie zwolenników ruchu „rad obywatelskich" przybierają jednak czasem charakter niezwykle gwałtowny. Tak na przykład przedstawiciel stanu Mississipi, senator James Eastland oświadczył, że „Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych popełnił pod fałszywym imieniem prawa i sprawiedliwości straszne przestępstwo... Stanowi ono wyraźne zagrożenie podstaw naszego republikańskiego systemu rządów... Rozstrzygnięcia te zostały wymuszone przez nacisk polityczny, który zmierza do zniszczenia amerykańskiego systemu rządów i bastardyzacji rasy białej... Sędziowie znieważyli wysoki urząd, jaki zajmują".

Stanowisko Murzynów. Argument o „bastardyzacji" rasy białej używany jest bardzo często. Jest on jednak mało przekonywujący, gdyż w praktyce tam, gdzie małżeństwa między białymi a czarnymi są dozwolone, to jest w stanach północnych, małżeństwa takie są wielką rzadkością. Co prawda, na to zwolennicy zakazu małżeństw mieszanych, który obowiązuje we wszystkich stanach południowych, odpowiadają, że tam, gdzie ludność murzyńska stanowi większość, dochodząca niekiedy do 80% ogółu zaludnienia, jak w niektórych okręgach stanów południowych, zniesienie zakazu mogłoby dać odmienne rezultaty, ale jest to bardzo wątpliwe, zwłaszcza przy istnieniu presji opinii publicznej.

Poza tym sami Murzyni coraz więcej wykazują dumy ze swej odrębności rasowej i nie ma wcale dowodów na to, że pragnęliby w swej masie mieszać się z białymi. W prasie murzyńskiej od czasu do czasu podnoszony jest postulat zniesienia zakazu małżeństw mieszanych i to właśnie wywołuje gwałtowne reakcje. Murzyni ze swej strony jednak oświadczają, że chodzi im o zniesienie wszelkich zakazów i ograniczeń, które nie pozwalają im się czuć pełnoprawnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych i które utrudniają im szanse życiowe. Owo „zrównanie szans życiowych" stało się jednym z głównych haseł, którymi posługują się przywódcy murzyńscy.

W mieście Atlanta istnieją dwa uniwersytety: „Emory University" dla białych i „Atlanta University" dla Murzynów. Poglądy ich profesorów i uczniów są wyrazem tego głębokiego przedziału, jaki trwa w niezmniejszającej się postaci wśród ludności Południa wielkiej republiki amerykańskiej.

CZYŻBY ZMIERZCH DYKTATORÓW W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ?

Osobliwym zbiegiem wypadków zaznaczyło się coś w rodzaju „agonii" instytucji dyktatorów w Ameryce łacińskiej. Trudno zresztą przewidzieć, czy ma to charakter zjawiska stałego. Zaczęło się od samobójstwa prezydenta Brazylii Vargasa, potem przyszło obalenie Perona w Argentynie, zamordowanie prezydenta Nikaraguy Somoza i ucieczka dyktatora Haiti Magloire. Obecnie przyszła kolej na Kolumbię. Dyktator jej, generał Gustavo Rojas Pinilla ustąpił pod naciskiem ruchu biernego oporu, zorganizowanego przez koła katolickie i gospodarcze. W jego miejsce władzę objął komitet wojskowy, złożony z pięciu osób.

Jak Rojas doszedł do władzy? Rzadko zdarza się, by jaki człowiek doszedł do pełni władzy w atmosferze takiego narodowego entuzjazmu, co Rojas. Stało się to w dniu 13 czerwca 1953 w wyniku zamachu stanu, który dokonał Rojas jako wódz naczelny sił zbrojnych republiki. Zapał ogarnął wszystkie warstwy i odłamy polityczne społeczeństwa. W dojściu Rojasa do władzy upatrywano koniec utajonej wojny domowej między liberałami a konserwatystami, która przeciągała się od roku 1948. Rojas wynoszony był jako bohater narodowy, a byli prezydenci liberalni i konserwatywni ściskali go publicznie w sposób manifestacyjny.

Nadzieje, jakie wiązano z dojściem Rojasa do władzy, wydawały się początkowo sprawdzać. Poprawiło się położenie gospodarcze. Rojas z energią przywrócił porządek w całym kraju; zwalczające się oddziały obu obozów poddały się.

Wkrótce jednak zaczęło się pojawiać coraz więcej rozczarowanych. Byli to przede wszystkim liberałowie, którzy początkowo widzieli w Rojasie likwidatora dyktatury konserwatywnej Laureano Gomeza. Obecnie zarzucali mu, nie bez słuszności, sympatie dla polityki konserwatywnej.

Dzieje upadku. Przyszła kolei i na konserwatystów. Kiedy w roku 1954 prezydent demonstracyjnie wysłał swą córkę do Buenos Aires w odwiedziny do Perona, konserwatyści zaczęli podejrzewać Rojasa o chęć zastosowania metod dyktatora argentyńskiego i stanęli w obozycji wobec niego. Córka Rojasa wzorem Ewy Peron, zorganizowała instytucję dobroczynną (SENDAS) i podjęty został kurs przeciw katolickiemu „Caritasowi".

Najbardziej jednak przyczynił się do zachwiania Rojasa jego własny zięć, dr Samuel Diaz, który ożeniwszy się z córką prezydenta, stał się czołową figurą w różnych interesach państwowych, a nawet, jak głosiły oskarżenia przeciwników, w szmuglu kawą, który doprowadził do ruiny gospodarkę. Rojas na te wszystkie rzeczy przymykał ponoć oczy i coraz bardziej wystawiony był na zarzuty nepotyzmu i nawet korupcji. Oskarżono go też o samowolne tłumienie swobodnego wyrażania opinii.

Dnia 10 maja w nocy dowódcy części sił zbrojnych przybyli do siedziby prezydenta, pałacu San Carlos. Nie potrzebowali nic mówić, gdyż Rojas już był zdecydowany na ustąpienie, co też nastąpiło. Wiadomość o tym przyjęta została w stolicy kraju, Bogocie, z radością, natomiast w ośrodku przemysłowym Medellin tamtejszy gubernator i garnizon stawili obór zbrojny, a w Cali wybuchły rozruchy. Trudno na razie przewidzieć, czy kraj zdoła osiągnąć jakąś równowagę wewnętrzną.

ROSJA

PRZECHWAŁKI CHRUSZCZOWA

Na zjeździe robotników i pracowników rolniczych w Leningradzie przemawiał towarzysz Chruszczow, który jest — jak widzimy — ciągle pełen rozmachu i zajmuje się wszystkim osobiście, jakkolwiek właśnie w czasie tego zjazdu stwierdził, że nie może wszystkiego robić naraz. „Nawet bohaterzy Czechowa — mówił — naprzód rozgryzają jeden orzech, a potem dopiero biorą się do następnego". Jednak, jak to dalej wynikało z jego mowy, robi co może i podejmując się ciężkiej pracy decentralizacji przemysłu rosyjskiego, równocześnie zajmuje się powiększeniem produkcji rolnictwa.

Zdaniem Chruszczowa, jego własna mowa sprzed trzech lat na temat podniesienia produkcji rolniczej była zbyt pesymistyczna i zawierała na skutek tego — fałszywe cyfry. Wtedy wyznaczył rok 1975 jako termin doprowadzenia produkcji rolnej ZSSR do poziomu produkcji rolnej Stanów Zjednoczonych. Jednak zostanie to osiągnięte znacznie wcześniej, dzięki patriotyzmowi i pilności sowieckiego rolnika. Tu przytoczył następujące cyfry:

Stany Zjednoczone w roku zeszłym wyprodukowały 226 funtów mięsa, 362½ litrów mleka, oraz 8½ funtów masła na głowę. W tym samym czasie osiągnięcia produkcji sowieckiej wyrażają się ilością 71 funtów mięsa, 259 litrów mleka i 6 lbs. masła na głowę mieszkańca Sowietów. Tego roku należy się spodziewać, że Sowiety wyprodukują więcej masła i mleka niż Stany, zaś produkcja mięsa będzie wyższa dopiero w 1961. „W ten sposób zdołamy przekonać tych, którzy uważali Stany Zjednoczone za nie do pobicia — głosił Nikita — że ideologia sowiecka nie boi się konkurencji kapitalistycznej." Może przekonani faktami ujrzą nareszcie, kto ma rację. Lecz tu Chruszczow zastrzegł się, że nie należy mu wcale na przekonaniu i nawracaniu kapitalistów. Nie ma takiej siły, która by zdołała zmienić kapitalistę, „tylko grób może uleczyć garbusa".

Byłoby to bardzo przekonywujące niewątpliwie, gdyby nie fakt, że w wielu dziedzinach gospodarki rolnej, właśnie standard sowiecki jest nie tylko poniżej standardu Stanów Zjednoczonych, lecz poniżej standardu osiągniętego przed 1914 rokiem przez carską Rosję, jak np. zboże, czy produkcja zwierząt domowych. Obawiamy się, że mowa Chruszczowa na zjeździe w Leningradzie była jednak zbyt optymistyczna. Prawdopodobnie i uczestnicy zjazdu mieli to samo wrażenie.

M. T. Liss

NIEPOKÓJ WŚRÓD STUDENTÓW LENINGRADZKICH

Fermenty, a nawet wrzenie wśród studentów rosyjskich nie ustają. Świeżym tego dowodem jest sprawozdanie rektora uniwersytetu leningradzkiego Aleksandrowa, zatytułowane „Sprawy wychowania studentów w Związku Sowieckim", a ogłoszone w czasopismie „Goniec Szkół Wyższych".

Aleksandrow stwierdza, że od czasu moskiewskiego zjazdu Partii Komunistycznej w roku ubiegłym aktywność studentów równoległa do rosnącej demokratyzacji życia publicznego stale wzrastała. Niestety — pisze on — aktywności tej towarzyszą pewne objawy o charakterze chorobowym. Zalicza on do nich: ataki studentów przeciw „niewoli" rozkładów godzin, wszczynanie nierzeczowych dyskusji politycznych, nieuzasadnioną krytykę sztuki i literatury sowieckiej, wytykanie rozpoznanych już braków i zaniedbań. Jest rzeczą nie ulegającą wątpliwości — stwierdza Aleksandrow — że demagogiczne przemówienia na zebraniach studenckich spotykają się z aplauzem, a nierzadko zdarza się, że niegodni studenci, ukarani dyscyplinarnie przez władze uniwersyteckie, znajdują poparcie w organizacjach studenckich.

Aleksandrow szczególnie ubolewa nad „niskim poziomem świadomości" u studentów sowieckich. Łatwo się domyśleć, co to określenie oznacza. Najostrzejsze zarzuty Aleksandrow kieruje przeciw studentom nauk społecznych. Właśnie studenci tego na wskroś marksistowsko - komunistycznego wydziału, nawet tacy, którzy zdali swe egzaminy „z odznaczeniem", wypowiadali poglądy, które trzeba uważać „co najmniej za osobliwe".

Czy to co pomoże? Nie można zadawalać się zbyt często powtarzaną formułką — ostrzega Aleksandrow — że wypadki takie są odosobnione. Jest zdaniem jego rzeczą konieczną za wszelką cenę dać studentom „poważne i mocne wychowanie". Ma ono polegać przede wszystkim na licznych spotkaniach i dyskusjach ze studentami, prowadzonych przez wszystkie czynniki uniwersyteckie, od asystentów począwszy, a skończywszy na rektorze.

Jak widać, Aleksandrowa nie zniechęciły niedawne wypadki na uniwersytecie moskiewskim, gdzie studenci pokazali, że mają już po uszy oficjalnych, ciągle w kółko powtarzanych frazesów.

WYBORY KANADYJSKIE

Po dwudziestu dwu latach nieprzerwanych rządów partia liberalna poniosła w wyborach powszechnych klęskę. Zamiast posiadanych w poprzednim parlamencie 170 mandatów, uzyskała ich 103. Na pierwsze miejsce wysunęła się partia „postępowych konserwatystów ze 110 mandatami, zamiast poprzednich 51.

Liberali, prowadzeni przez premiera St. Laurent, przegrali w wielu okręgach; z 19 członków rządu 9 nie zostało wybranych.

Konserwatyści, którym przewodzi energiczny młody polityk John Diefenbaker, poszli do wyborów pod hasłem zdynamizowania życia politycznego, gospodarczego i społecznego; położyli większy nacisk na sprawy lokalne, które w tych wyborach odegrały poważną rolę; przeciwstawiali się nadmiernemu — ich zdaniem — uzależnieniu gospodarki kanadyjskiej od Stanów Zjednoczonych.

Treść programów obu wielkich partii nie różni się wiele; chodzi więc raczej o metodę pracy i zmianę ekipy; w wielu okręgach znani politycy zostali pobici przez kandydatów nieznanych szerszemu ogółowi.

Wobec braku zdecydowanej przewagi (110 na 103) postępowych konserwatystów nad liberałami, duże znaczenie w parlamencie będą miały dwie z kolei następne co do liczby mandatów partie: Federacja Kooperatystów Wspólnoty (24 mandaty) i partia Kredytu Społecznego (19 mandatów, zamiast poprzednio 15).

BROŃ I PIENIĄDZE

Pomimo oficjalnych zaprzeczeń, zewsząd dochodzą wiadomości, że Sowiety — wbrew wzniosłym deklamacjom o pokoju, przyjaźni międzynarodowej i praworządności — nadal stosują dwie ulubione metody imperializmu: dostarczanie broni i kupowanie wspólników.

Uporczywie krążą pogłoski o dostawach sowieckiego sprzętu zbrojeniowego dla Indii, na zasadach dogodnego kredytu długoterminowego, oraz dla Indonezji, włącznie z samolotami MIG 17.

Zaburzenia na Środkowym Wschodzie były i są nadal finansowane energicznie przez Związek Sowiecki: ostatnio donoszą z dobrze poinformowanych źródeł, że sowiecka ambasada w Bejrucie wydała 250 tysięcy funtów szterlingów na wybory w Libanie, by osiągnąć pożądane anty-zachodnie wyniki.

Przedstawicielstwa dyplomatyczne Sowietów, Syrii i Egiptu dostarczają broń czeskiego pochodzenia dla ludności Libanu, zapewne jako... demokratyczny argument wyborczy.

ENERGIA

Światowa Konferencja w Sprawach Energetycznych, w szczególności w sprawie potrzeb narodów ubogich w źródła energii, zgromadziła w Belgradzie delegatów 40 państw.

Zebrano pokaźny materiał w zakresie zarówno potrzeb jak i sposobów zaradzenia im. Przedstawiciele mocarstw energetycznych, zwłaszcza jeżeli chodzi o energię jądrową, mieli możność skonfrontować osiągnięcia i możliwości własne z zapotrzebowaniami krajów pozbawionych tych możliwości. Debaty dotyczyły m. in. warunków udostępnienia sprzętu lub korzystania z produkcji energetycznej, jak również celów, którym pomoc w zakresie energii miałaby służyć. Podkreślano pierwszeństwo potrzeb konsumenta w krajach zacofanych oraz inwestycji, bezpośrednio dotyczących potrzeb konsumenta, np. rozwoju rolnictwa (irygacje), stawiając na drugim miejscu przemysł eksportowy.

Dwa dysonansy zakłóciły rzeczowy poziom obrad. Jednym była widoczna konkurencja w reklamowaniu osiągnięć między amerykańskimi i angielskimi producentami atomowego sprzętu energetycznego. Drugim była dywersja politycznej propagandy, jaką usiłowali forsować delegaci Związku Sowieckiego, ze szkodą dla fachowych debat w sprawie podniesienia poziomu życia i spożycia ludności w krajach upośledzonych.

KOMUNIŚCI NA CENZUROWANYM

Echa krwawych represji sowieckich na Węgrzech i „akt oskarżenia komunizmu", jaki wytoczono w okresie „odwilży", podważają wpływy komunistyczne w brytyjskich związkach zawodowych. Robotnik brytyjski przez długie lata ulegający ślepo komunistycznej dialektyce i wierny działaczom - członkom partii, przejrzał i zaczyna głośno protestować przeciwko metodom międzynarodowego komunizmu i jego sowieckiej „ojczyzny", tym metodom mianowicie, które robotnikiem-człowiekiem pomiatają.

W potężnym Zjednoczonym Związku Techników po raz pierwszy znani komunistyczni działacze, Scott i Birch, doznali porażki.

W Związku Elektryków, liczącym 232.000 członków, na zjeździe po raz pierwszy zjawiły się rezolucje potępiające walkę, jaką komunizm toczy z robotnikiem; przeszły one wbrew oporom komunistycznych działaczy licznie jeszcze reprezentowanych we władza Związku. Oddział Luton wniósł uchwałę, która żąda udzielenia poparcia i pomocy działaczom robotniczym wszystkich krajów, którzy byli więzieni lub prześladowani za działalność związkową lub opór stawiany dyktaturze; uchwała wyraża oburzenie i zgorszenie z powodu krwawych represji sowieckich na Węgrzech i strzelania do robotników w Poznaniu i w Budapeszcie. Rezolucja oddziału z Combaslang potępia brutalny atak wojsk sowieckich na robotników węgierskich. Oddziały w Hartlepool i w Kensal potępiają stosunek sowieckiej i satelickich partii komunistycznych do robotników i sprawy robotniczej oraz protestują przeciwko wpływom partii komunistycznej w Związku, żądając by czas i pieniądze Związku nie były trwonione na popieranie polityki komunistycznej, a służyły bezpośrednio interesom członków.

Londyński Związek Pracowników Naukowych dał wyraz swojemu krytycznemu stanowisku wobec wpływów komunistycznych w organizacjach robotniczych, protestując przeciwko przynależności do międzynarodowej centrali, pozostającej pod wpływami komunistycznymi, oraz wybierając do Wydziału Wykonawczego czterech członków, którzy te protesty zgłaszali.

Działacze komunistyczni stają pod zarzutem sprzyjania polityce sprzecznej z ideałami i interesem świata pracy oraz są krytykowani za gospodarkę zasobami Związku, stosując kryteria polityczne, a nie związane z potrzebami członków.

RAPTULARZ WYDARZEŃ

22 maja —

✱ EISENHOWER oświadczył, że ograniczanie zbrojeń powinno postępować stopniowo i ostrożnie, zależnie od tego jak skuteczne okażą się uzgodnione, próbne sposoby kontroli.

✱ STASSEN stwierdził, że „Stany Zjednoczone znajdują się w toku poważnych rokowań ze Związkiem Sowieckim na temat pierwszego kroku w sprawie ograniczenia zbrojeń".

✱ W SPRAWIE SUEZU, dwudniowe obrady Rady Bezpieczeństwa NZ zostały zakończone bez konkretnego wyniku.

23 maja —

✱ ADENAUER wyjechał do Stanów Zjednoczonych dla uzgodnienia spraw obrony, planów ograniczeń zbrojeń i planów gospodarczego jednoczenia Europy zachodniej.

✱ BRENTANO wręczył ambasadorowi sowieckiemu w Bonn odpowiedź na notę Związku Sowieckiego z dnia 27 kwietnia.

✱ STRAUSS, minister obrony Niemiec zachodnich, przybył do Londynu celem odbycia rozmów w sprawach obrony.

24 maja —

✱ ADENAUER przybył do Nowego Jorku.

✱ W LONDYNIE Sandys i Strauss zawarli porozumienie o koordynacji badań w sprawach obrony oraz technicznego rozwoju broni.

✱ STRAUSS stwierdził, że Niemcy zachodnie nie mają zamiaru produkować broni atomowych. Na razie nie mają również zamiaru uzbrajać swych sił zbrojnych w środki atomowe.

✱ W BONN ogłoszono odpowiedź na notę Związku Sowieckiego z 27 kwietnia. Niemcy zachodnie wyrażają nadzieję, że dojdzie do ogólnego układu w sprawie broni atomowych i należytej kontroli. Jeśli nie — rezerwują sobie swobodę decyzji, uzgadniając ją ze swymi sojusznikami.

✱ NIEMCY ZACHODNIE skierowały równocześnie do Związku Sowieckiego drugą notę, w odpowiedzi na notę z 22. 10. ub. r. Podkreśliły w niej konieczność wolnych wyborów w całych Niemczech i gotowość do rozmów na temat bezpieczeństwa Europy.

✱ NOTA Związku Sowieckiego do Niemiec zachodnich, w odpowiedzi na notę niemiecką z 14. 4., proponuje podjęcie rokowań w dniu 16 czerwca w sprawie układu handlowego, ustanowienia konsulatów i repatriacji.

✱ RZĄD BELGIJSKI rozważa projekt skrócenia obowiązkowej służby wojskowej z 18 do 12 miesięcy.

✱ W STANACH ZJEDNOCZ. trwają narady w rządzie i w Radzie Obrony Państwa na temat projektów ograniczenia zbrojeń.

✱ POTAJEMNIE wyjechali do Moskwy: Gomułka, Cyrankiewicz, Jędrychowski i Szyr.

✱ BRYTYJSKO - EGIPSKIE rokowania finansowe rozpoczęły się w Rzymie.

✱ SYRIA, pod naciskiem Arabii Saudyjskiej, zdecydowała się wycofać swe wojska z północnej Jordanii.

✱ W TAIPEH, stolicy Formozy, doszło do gwałtownych demonstracji antyamerykańskich.

25 maja —

✱ RZĄD Stanów Zjednoczonych, po kilkudniowych naradach, powziął decyzję w sprawie projektu ograniczeń zbrojeń.

✱ ZWIĄZEK SOWIECKI zaproponował Indiom i Indonezji kupno sprzętu wojennego na bardzo dogodnych warunkach spłaty.

26 maja —

✱ DWAJ polscy piloci sportowi z Wrocławia wylądowali w Wiedniu, prosząc o azyl polityczny.

✱ W PEKINIE zapowiedziano, że Mao Tse Tung odwiedzi wkrótce Moskwę.

27 maja —

✱ W DANII dotychczasowy premier Hansen sformułował rząd koalicyjny.

✱ GOMUŁKA ze swym otoczeniem powrócił z Moskwy do Warszawy.

✱ W BUDAPESZCIE Gromyko i Żukow podpisali z rządem Kadara umowę o stacjonowaniu wojsk sowieckich na Węgrzech.

✱ TITO oświadczył, że nie ma powodów do sporu pomiędzy Jugosławią a Związkiem Sowieckim i innymi państwami Europy wsch.

28 maja —

✱ ROZMOWY Adenauera w Stanach Zjednoczonych zakończono komunikatem, który stwierdza, że zawarcie ze Związkiem Sowieckim częściowego układu o ograniczeniu zbrojeń może być dogodnym momentem do przeprowadzenia konferencji czterech mocarstw w sprawie zjednoczenia Niemiec. Na konferencji prasowej Adenauer stwierdził wyraźnie, że obecne rokowania rozbrojeniowe w Londynie nie dotyczą jego rządu, a ewentualna strefa kontrolowana nie będzie obejmować Niemiec. Dopiero po ich zjednoczeniu można by zawrzeć pełny układ o rozbrojeniu i bezpieczeństwie Europy.

✱ W STANACH ZJEDNOCZ. rozpoczęto serię próbnych wybuchów atomowych.

„POLAND AND GERMANY"

(Dokończenie ze str. 7)

— Gustawa Hilgera; „The S. S., Alibi of a Nation" — Geralda Reitlingera; obszerna notatka omawia stanowisko „Rheinischer Merkur", katolickiego tygodnika politycznego, wydawanego w Kolonii, a odznaczającego się trzeźwym obiektywizmem w podejściu do spraw polskich. W kronice znajdujemy sprawozdanie z pożytecznej akcji grupy niemieckich historyków, którzy podjęli próbę „wyrugowania nienawiści" z podręczników historycznych o stosunkach polsko-niemieckich.

Całość pierwszego numeru robi wrażenie poważne. Można by wytknąć tu i ówdzie ton zbyt cierpki i jakby zaczepliwy, który może zrażać czytelnika zachodniego; akcenty takie kłócą się ze wstępem, gdzie redakcja pisze, że wydawnictwo zamierza „naświetlać wydarzenia... służąc sprawie, która powinna zawsze przyświecać ludzkim wysiłkom, mianowicie lepszej i bardziej zgodnej przyszłości..." Całość materiału sprawia wrażenie pewnej jednostajności; niektóre artykuły powtarzają te same argumenty, z których wiele dotyczy polskich postulatów w sprawie granicy; pominięto na ogół problemy ekonomiczne. Ani razu nie spróbowano rzucić sprawy stosunków polsko-niemieckich czy problemu granicy na szerszą perspektywę obszaru Europy Środkowo-Wchodniej, w której to perspektywie należy przecież szukać pomocy w obronie naszych partykularnych interesów; artykuł Zdziechowskiego lansuje koncepcję „mostu" między Zachodem a Rosją, przypominając język polityczny... Benesza; brzmi to nieszczęśliwie w zestawieniu z niezrozumiałym zarzutem pod adresem Elżbiety Wiskemmann, że powiązała stosunki polsko niemieckie ze stosunkami czesko-niemieckimi; w interesie naszym jest właśnie wspólnie z Czechosłowacją rozwiązywanie sprawy naszych granic zachodnich. Byłoby dobrze, gdyby następne numery ograniczyły nieco argumentację czysto koncepcyjną, a dawały więcej podbudowania faktami i cyframi, za wzorem opracowania Glabisza.

Angielszczyzna, jakkolwiek zrozumiała, grzeszy „polonizmami" w układzie zdań i w doborze słów.

Kwartalnik „Poland and Germany" (cena egzemplarza 3/6; prenumerata roczna 16/-, lub 2.60 dol.) powinien być rozprowadzony jak najszerzej jako narzędzie uświadamiania opinii zagranicznej o polskim stanowisku w zakresie tego kapitalnego europejskiego zagadnienia, jakim są stosunki polsko-niemieckie.

S. G.

„NAJKRÓTSZA DROGA"

Przybyli bodaj z całego świata. Byli ci, którzy po kampanii wrześniowej, poprzez obozy internowanych w Rumunii i na Węgrzech, dostali się do Francji, a po jej upadku różnymi drogami przybyli do Wielkiej Brytanii. Jedni wprost, inni zahaczali o Gibraltar, a nawet o piaski Sahary. Innym dane było zasmakować „komfortu" hiszpańskiego obozu internowanych w Mirandzie del Ebro, uciec stamtąd i przedostać się do neutralnej Portugalii. Przybyli ci, którzy szli przez Szwecję. Byli tacy, którzy uciekli z niemieckich obozów jenieckich. Natomiast większość szeregowców i podoficerów była z łagrów sowieckich, a droga ich wiodła przez Persję, Irak, Palestynę, potem naokoło Afryki, niektórzy zawadzili o Stany Zjednoczone. Znaleźli się nawet tacy, którzy przybyli z Dalekiej Argentyny i Brazylii, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Byli wreszcie ci, którzy z Africa Corps, jako żołnierze niemieccy — przymusowo wcieleni, wzięci do niewoli przez Sprzymierzonych, zostali spośród jeńców wyłuskani i znaleźli się z powrotem w polskich mundurach.

Szli do deszczowej Szkocji poprzez lata 1940, 1941, 1942, 1943 i 1944. Szli żołnierze służby stałej i rezerwiści. Młodzi, którzy zaledwie 17 lat ukończyli bardzo dojrzali, bo do 50-tki sięgający.

Byli to profesorowie uniwersytetu, inżynierowie, doktorzy, nauczyciele, rolnicy, leśnicy — ludzie wszystkich klas i zawodów, z wszystkich stron Polski — od najbardziej na wschód wysuniętych okolic, od Lwowa, Stanisławowa, Równego, Baranowicz i Wilna, do brzegów Odry na zachodzie. Byli spoza Polski, krótko mówiąc ci, którzy szli na odzew własnego serca: „ojczyzna w niebezpieczeństwie".

Bo takim jest zew krwi polskiej — każdego Polaka, bez względu na to gdzie się znajduje i jakim paszportem się legitymuje.

I postanowili, że będą polskimi żołnierzami spadochronowymi — wojskiem, którego dotąd Polska nie posiadała, a które na Zachodzie dopiero zaczęło się tworzyć. Wolą ich było „Najkrótszą Drogą" znaleźć się w Polsce i razem z Armią Krajową walczyć o wyzwolenie Ojczyzny.

Wolą ich było zapisać karty historii ubiegłej powstaniem nowego najbardziej nowoczesnego rodzaju wojska polskiego i jego wysiłkiem na polu walki.

Robotę rozpoczęli sami oficerowie, dla których zabrakło szeregowych, by nimi dowodzili. Chcieli być kadrą dowódczą, która będzie skakać do Polski, a tam wypełnią ją szeregowi zmobilizowani na miejscu w Kraju.

Nie było pieniędzy na urządzenia i sprzęt wyszkoleniowy, sięgnięto do własnych pomysłów i osobistych środków materialnych. Zrobili tak jak zawsze robią pionierzy i odkrywcy. Uznani zostali dopiero wtedy, gdy dorobkiem swym na to zasłużyli. Nie otrzymali niczego za darmo.

Takim był początek roboty spadochronowej: formowanie polskiego wojska spadochronowego i 1-szej Samodzielnej Polskiej Brygady Spadochronowej na obczyźnie, podczas ubiegłej wojny, w latach 1941-44, przedstawiony przez twórcę, organizatora i bojowego dowódcę brygady spadochronowej, gen. S. Sosabowskiego w jego książce pt. „Najkrótszą drogą".*)

Polscy skoczkowie spadochronowi począwszy od zimy 1940/41 skaczą do Polski okupowanej. Polska brygada spadochronowa — umową Sikorski - Alan Brooke (ówczesny Szef Brytyjskiego Imperialnego Sztabu) zastrzeżona jest do wyłącznego użycia w Polsce.

Przez Sprzymierzonych są czynione przygotowania do inwazji kontynentu. Na początku 1943 roku Brytyjczycy występują z propozycją, by strona polska cofnęła swe zastrzeżenia odnośnie wyłącznego użycia brygady spadochronowej na terenie Polski i żeby zgodziła się na jej udział na froncie zachodnim. Propozycja ta, w miarę toczących się pertraktacji, nabierała charakteru nacisku. Początkowe uwarunkowane propozycje oddania brygady do operacji na Zachodzie przeradzają się w żądanie bez zastrzeżeń.

Finał trzechmiesięcznych pertraktacji kończy się oddaniem dnia 6 czerwca 1944 brygady, bez zastrzeżeń, do dyspozycji Sprzymierzonych, dla operacji na Zachodzie.

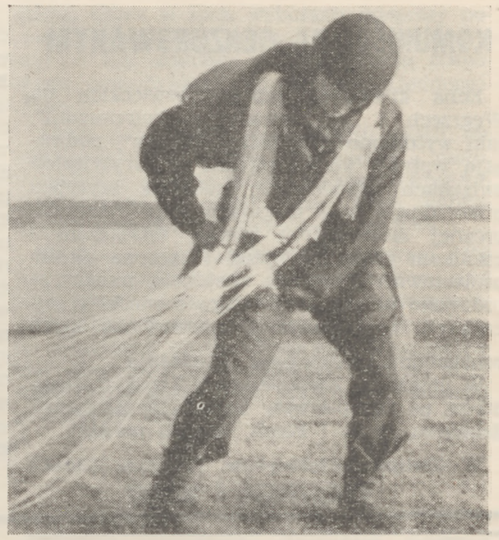
Data oddania brygady dla celów operacyjnych na Zachodzie zbiegła się z pierwszym dniem inwazji Sprzymierzonych na kontynent europejski.

Część III książki gen. Sosabowskiego zatytułowana „Walka o wykonanie krajowego przeznaczenia brygady" ilustruje w szczegółach dramatyczny przebieg tych pertraktacji.

Brygada jest już w dyspozycji Sprzymierzonych, wchodzi w skład 1-szej Sprzymierzonej Armii Powietrznej (1st Allied Airborne Army), jest częścią składową Brytyjskiego Korpusu Powietrznego. Potrzeby frontu inwazyjnego przynaglają użycie brygady w walce. Jednak nie jest ona jeszcze w pełni materiałowo zmobilizowana i potrzebuje również końcowego przeszkolenia bojowego, tak z braku sprzętu etatowego, jak i z powodu niedostarczenia samolotów dla tego rodzaju przeszkolenia.

Brygada nie powinna być użytą w akcji jako nie doszkolona jednostka. Próba użycia jej w tym stanie niedoszkolenia spotyka się ze strony polskiej ze zdecydowanym sprzeciwem. Rozgrywa się dramatyczna walka o to, by nie była użytą póki nie będzie przygotowaną. Strona polska zwycięża. Równocześnie robiony jest olbrzymi wysiłek, by przyspieszyć ostateczne przeszkolenie. Początek części IV książki, „O oszczędność krwi żołnierskiej" opisuje ten dramat w formie bardzo obrazowej.

Termin pogotowia bojowego, 1 sierpnia 1944, zbiega się z wybuchem powstania w Warszawie. Dowódca Armii Krajowej żąda pomocy brygady, wskazując na doniosłość polityczną i wojskową jej udziału w powstaniu. Brygada już od 6 czerwca jest w dyspozycji operacyjnej Brytyjczyków. Naczelny Wódz czyni najwyższe wysiłki, by brygada, lub przynamniej jej część, leciała do Warszawy. Wysiłki jego są daremne.



Po skoku...

Ten dramat przedstawiają dalsze strony części czwartej.

Brygada jest w pogotowiu bojowym od 1 sierpnia i już 6 sierpnia otrzymuje pierwsze zadanie bojowe: desant na las Rambouillet we Francji. Gorączka przygotowania, wszystko zapięte na ostatni guzik i... odwołanie działania.

Wypadki na kontynencie biegną szybciej niż najpobieżniejsze przygotowanie akcji desantu. Po pierwszej akcji idzie druga w rejonie Tournai, na pograniczu belgijsko-francuskim, w okręgu przemysłowym Belgii i łączącym się z nim okręgiem Francji, o gęstym nasileniu polskich górników. Spotkanie oddziałów polskich górników bijących Niemców przewidziane. Ta i następna akcja na południowo-wschodni skrawek w rejonie Moustriit w Holandii, również, po przygotowaniu, zostaje odwołana. Tak biegnie sierpień i początek września. Bez konkretnej akcji bojowej żołnierz spadochronowy jest wyczerpany fizycznie i psychicznie.

Zbliża się epopeja arnhemska, największa dotąd operacja desantu powietrznego, określona kryptonimem „Market". Poprzedza ją przygotowanie innej, na tym samym terenie, która na szczęście nie dochodzi do skutku. Wedle oceny autora, wykonanie jej groziło niepowodzeniem, a dla brygady możliwością całkowitego zniszczenia.

Operacja „Market", której częścią jest bitwa arnhemska, miała w swym założeniu być wstępem do przyspieszenia całkowitej klęski Niemiec i zakończenia wojny w roku 1944. Udział w niej, poza amerykańskimi i brytyjskimi wojskami powietrznymi — jedynie polskiej brygady spadochronowej, mówi dobitnie o ogromnym duchowym i fizycznym polskim wysiłku — narodu, którego kraj był pod okupacją nieprzyjacielską. Na tle samej bitwy przewija się dramat i chwała udziału w niej polskiego żołnierza spadochronowego.

Rozdzielenie Renem sił polskich. Dramat odwołanych startów z powodu niesprzyjającej pogody. Niewiadoma sytuacja na froncie i w rejonie zrzutu. Możliwość bezcelowej zagłady brygady, bez możności przyniesienia pomocy tym, którzy się tam już biją. Brzemię odpowiedzialności, które przygniata dowódcę. Skok na pole bitwy. Stwierdzona odmienność sytuacji od tej, która dawała warunki dostania się na brzeg północny Renu. Dramatyczne przeprawy przez rzekę noc po nocy. Odwrót z pełnego brzegu. To wszystko — jak na filmie przewija się przez rozdział „Bitwa Arnhemska", zaś pointą tego rozdziału są rozważania, czy operacja mogła mieć bardziej pozytywny wynik, a bitwa arnhemska mogła być wygrana. Autor nie wyprowadza ostatecznego wniosku. Raczej wyczuwa się, że wygrana być mogła, gdyby właściwie oceniono przy planowaniu możliwości nieprzyjaciela i w konsekwencji wyciągnięto z tego wnioski przy rozplanowaniu sił i środków. Jako specjalista w sprawach desantów powietrznych, uważa również, że inne planowanie samego desantu powietrznego na Arnhem mogło doprowadzić do zdobycia mostów na Renie. Wyraża jednak uzasadnioną wątpliwość, czy utrzymanie ich do czasu przybycia wojsk lądowych było możliwe. Zamiast spodziewanego przybycia w ciągu dni dwu przybyły one po dniach ośmiu.

Przez całą książkę — jak nić czerwona — przewijają się stosunki polsko - brytyjskie. Obie strony twardo i uporczywie walczą o bojowe przeznaczenie brygady, tej pierwszej w dziejach wojska polskiego wielkiej jednostki desantu powietrznego. Toczy się walka o nią. Obie strony są nieustępliwe. Przegrywa oczywiście strona słabsza. Zdobywa ona jednak kapitał moralny u swoich i szacunek za swą nieustępliwość wobec obcych.

Książkę kończą refleksje. Bilansują one dorobek wojskowy i cywilny polskiego wysiłku spadochronowego na obczyźnie podczas ubiegłej wojny światowej. Zaczyna się „Słowem wstępnym" gen. Sosnkowskiego, który był Naczelnym Wodzem wtedy, kiedy brygada dojrzewała, gdy się toczyła walka o jej przeznaczenie i kiedy walczyła.

Żołnierze spadochronowi mogą być dumni z tego, co o nich napisał ich były Naczelny Wódz. Jest to publiczna ich kwalifikacja, która przechodzi do historii. „Słowo wstępne" należy przeczytać dwukrotnie przed i po przeczytaniu książki. Wtedy wyrazistość tego, co pisze gen. Sosnkowski, uzewnętrzni się w sposób jaskrawy. Pewne różnice poglądów na sprawy praktyczne między autorem książki i „Słowa" tylko pogłębiają zainteresowanie książką.

Różnice te są uzasadnione różnymi horyzontami, którymi dysponował Naczelny Wódz i dowódca brygady spadochronowej.

Książka napisana jest barwnie i tak, że każdy, kto ją czytać będzie, znajdzie to, czego szuka. Polski żołnierz spadochronowy znajdzie w niej wspomnienia własnych przeżyć. Zwykły czytelnik dreszcz przygody spadochronowej. Młodzieniec — zachętę, by wstąpił w ślady swoich poprzedników i oddał się sportowi spadochronowemu, nie tylko tak bardzo emocjonalnemu, ale również kształtującemu wartości duchowe i fizyczne. Dojrzały — nabierze przekonania, że wytrwałym ćwiczeniem ciała i ducha nawet 50-letni człowiek może zostać dobrym spadochroniarzem. Wychowawca znajdzie metody wychowawcze stosowane przy formowaniu tego, tak trudnego rodzaju wojska. Zaś historyk wierną relację minionych wypadków. Każdy zaś Polak: wiarę w siły duchowe naszego narodu, a wiara ta jest nam tak bardzo potrzebna w okresach zwątpienia i kryzysów.

J.Z.

*) **Gen. S. Sosabowski NAJKRÓTSZA DROGA. Pamiętnik organizatora i dowódcy bojowego 1-szej Samodzielnej Polskiej Brygady Spadochronowej.** Wydawnictwo Komitetu Wydawniczego Polskich Spadochroniarzy. Druk Montgomery. Skład Główny „Veritas", Londyn 1957. Cena 30/-.

NASZE SPRAWY

POLSKA ZAUWAŻONA

O Polsce w ostatnich tygodniach wyraźnie zrobiło się głośno w świecie. Zwłaszcza w świecie katolickim.

Najlepszym dowodem tego jest prasa. Ciągle się w ostatnich czasach w prasie zachodniej pisze o Polsce. Ostatnio — głównie o podróży ks. kardynała Wyszyńskiego do Rzymu.

Weźmy na przykład niektóre ostatnie numery czołowego tygodnika katolików angielskich „The Tablet", czytanego przez elitę intelektualną katolicką w całym świecie: potrafi w nich być po 5 do 6 artykułów i notatek o sprawach polskich w jednym numerze. To o uroczystościach jasnogórskich 3 maja, to o zeszłorocznych uroczystościach sierpniowych tamże, z których pismo to teraz dopiero zamieściło fotografie, stwierdzając, że było to największe zgromadzenie ludzkie, jakie zna historia, to o podróży prymasa Wyszyńskiego i sposobie, w jaki był we Włoszech witany, to o encyklice o św. Andrzeju Boboli, to o szkolnictwie w Polsce, to o możliwości kanonizacji kardynała Stanisława Hozjusza.

Pisze dziś o Polsce cała prasa katolicka świata, oczywiście z watykańskim „Osservatore Romano" na czele. Ale nie tylko prasa katolicka. Tak np. słynny czołowy amerykański tygodnik „Time" zamieścił wizerunek prymasa Wyszyńskiego na karcie tytułowej, a obszerny artykuł o nim w środku. A przecież pismo to pisało niedawno w podobny sposób także o p. Gomułce.

Polska została dziś niewątpliwie zauważona przez światową opinię publiczną. Nie pisze się dziś o niej ani w czułostkowym tonie mowy żałobnej na pogrzebie (z zamiarem szybkiego zapomnienia o nieboszczce i pójścia na obiad), ani w tonie dawania jej zbawiennych, a nieskutecznych rad, ani w tonie pobłażliwego głaskania jej po główce, lub karcenia za jej brak rozsądku. Pisze się o niej jako o fakcie żywym, zasługującym na uwagę swoją żywotnością i swoimi osiągnięciami.

Polska osiągnęła całkiem niemały sukces, całkiem niemały tryumf i zwycięstwo. Pokazała, że jest w stanie — żyć. Żyć nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach.

Pamiętam rozmowę, jaką miałem przed kilku laty z pewnym bardzo życzliwym Polsce cudzoziemcem. Pytał mnie tylko o jedno: czy wy macie jakąś nadzieję?

Dzisiaj nikt by nas już o to nie zapytał, czy mamy nadzieję. Wygramy, czy przegramy, jedno jest pewne: walczymy. Nie leżymy powaleni na łopatki, stoimy na nogach i bronimy się.

Szeroko rozpowszechnionym w świecie poglądem jest, że, gdzie stąpnęła noga rządów komunistycznych, tam kończy się — życie. Pod tchnieniem tych rządów wszystko zamiera; tak się skręca, więdnie i usycha jak trawa, na którą tchnie gorący powiew z otwartego pieca maszyny. Hipnotyczny wpływ doktryny Marksa urzekł nawet wielu jej wrogów: zdaje im się, że jest w tej doktrynie coś nieuchronnego, coś nieodwracalnego, że historia idzie z nieubłaganą konsekwencją ku urzeczywistnieniu proroctwa tej doktryny i że w najlepszym razie można zwycięski pochód tej doktryny opóźniać, ale gdzie ona zwyciężyła, tam już nie można temu przeszkodzić, że wypali ona wszystko, co się jej sprzeciwia.

A tymczasem Polska wykazała — oczywiście, przy pomocy Boga i przy nadprzyrodzonej interwencji Matki Boskiej Częstochowskiej — że tak nie jest. Jej życie trwa pod rządami komunistycznymi tak samo, jak trwało pod rządami Hitlera, choć forma oporu jest inna. A na rządy komunistyczne naród polski patrzy tak, jak patrzał na system i ideologię Hitlera: jako na coś nieznośnego, ale tylko chwilowego.

Międzynarodowy obóz komunizmu natknął się w Polsce po raz pierwszy na taki orzech, którego zgryźć nie potrafi: na Kościół katolicki, który złamać się nie da. Z trzynastoletniego już zmagania Kościół w Polsce wyszedł zwycięsko, a wraz z nim zwycięsko wyszła — Polska. Polska ze swoim duchem, atmosferą, przeszłością, cywilizacją. Przecież to jest wielki tryumf: ten Kościół, któremu rządy komunistyczne musiały przyznać rozległe ustępstwa, ta dziatwa, pod rządami komunistycznymi urodzona i wychowana, która z zapałem wypełnia lekcje religii i te półtora miliona ludzi na zeszłorocznej pielgrzymce w Częstochowie. Świat spogląda na ten tryumf w niemałym osłupieniu: tryumf ten zmienia obraz światowej rzeczywistości, każe z większą ufnością patrzeć w przyszłość całego świata. Bo Polska udowodniła, że świat wcale nie musi zostać przez komunizm zdobyty, ale może się skutecznie obronić i że komunizm można odeprzeć, albo odpierać nawet bez światowego kataklizmu, stopniowo, powoli i krok za krokiem.

Wrażenie wywołane w świecie przez ostanie się Kościoła w Polsce jest do pewnego stopnia większe od wrażenia, jakie zrobiło powstanie węgierskie. Bo powstanie węgierskie pasowało do dotychczasowych wzorów: ludzie byli zrozpaczeni, chwycili za broń — i przegrali. Pokazali raz jeszcze, że każda próba stawienia czoła komunizmowi jest skazana na klęskę. Ale Kościół w Polsce — wygrał. Nie wygrał dużo, wygrał tylko trochę. Wygrana jego nie jest jeszcze zresztą utrwalona. Bądź co bądź jednak Kościół ostał się na najważniejszych pozycjach i zmusił komunizm w wielu podstawowych sprawach do odwrotu.

Rezultaty, do których doprowadziło trzynastoletnie zmaganie się narodu polskiego z rządami komunistycznymi uczy nas, że na ogół błędną jest postawa: „wszystko, albo nic", albo: „zwyciężyć lub zginąć". Zginąć jest bardzo łatwo, a do pełnego zwycięstwa nie zawsze są warunki. Ale o wiele trudniejszą rzeczą jest — żyć nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach i trwać z zaciśniętymi zębami. A jednak właśnie to jest czasem jedyna droga możliwa, o ile nie chce się szukać czegoś w rodzaju samobójstwa.

My tu na emigracji nie dzielimy trudów i niebezpieczeństw, w jakich żyje społeczeństwo w Kraju. Drogi nasze są i muszą być inne, ale cel nasz musi być ten sam. Musimy pomagać Krajowi — w wytrwaniu. To znaczy, ani nie ulegać złudzeniom, nie kołysać się optymistycznymi nastrojami, do których nie ma podstaw i nie szukać łatwizny, ani — z drugiej strony — nie przybierać póz i gestów, które są może teatralnie efektowne, ale do niczego nie prowadzą. Mamy na emigracji wiele konkretnej i realnej roboty do zrobienia — dla Polski, dla Kościoła polskiego, dla kultury polskiej, dla sprawy polskiej. Musimy ją wykonywać tak, jak Kościół wykonywa robotę swoją w Kraju: bez efektu bez pozy, z zaciśniętymi zębami — a skutecznie.

Jedną z robót, jakie mamy tu na emigracji do spełnienia, jest podmurowanie pozycji, jaką sobie Polska świeżo w opinii światowej, a zwłaszcza w światowej opinii katolickiej, zdobyła.

Polonus

WOLNOŚĆ GOREJĄCA

napisała Janina Węgrzyńska-Kościałkowska

„...jak ktoś tak opętany chęcią znalezienia skarbu, że biegnie po drogach szukając czy przypadkiem tam go nie znajdzie, zgubionego przez podróżnego..." Tymi słowy śmieje się Kartezjusz z ludzi ciekawych poznania prawdy i te słowa odnieść można by przede wszystkim do jego własnych wyznawców, którzy im gorliwiej chwycili się kartezjanizmu jako jedynej „prawdziwej" filozofii, tym samym skuteczniej zagubili jej istotny sens i wywołali kartezjański chaos trwający do dziś. Do tego stopnia, że samo słowo „kartezjanin" stało się zwierciadłem wklęsłym, w którym postać Kartezjusza wykoszlawiona i zniekształcona straszy, pociąga i odpycha jak widziadło nie z tego świata.

Prawdziwym więc dobrodziejstwem jest książka Samuela S. de Sacy odznaczona Nagrodą Krytyki, która rozprawia się z kartezjanizmem, lub ściślej mitem Kartezjusza, aby spod ciężaru przytłaczającej go od trzech wieków olbrzymiej literatury wydobyć na światło dzienne samego człowieka i właściwe wymiary jego dzieła. Książka ta zatytułowana „Descartes par lui-même" jest tym bardziej cenna, że dwie poprzednie i najciekawsze rzuciły na Kartezjusza tak skrajnie przeciwne światła, że praktycznie rzecz biorąc ucięły czytelnikowi swobodę odduchu. Były to Sartre'a „Descartes" i profesora Sorbony Roberta Arona „Na rubieżach nicości". Przytaczam je dlatego, ponieważ dają najlepsze świadectwo nieprzemijającej aktualności filozofii kartezjańskiej, w której dwie zasadnicze pozycje materializm i idealizm przecinają się pod kątem prostym.

Jakkolwiek by się do Kartezjusza podchodziło i obchodziło go, obejść się bez niego nie można. Stąd też omawiana książka przywiązuje jak największą wagę do uwypuklenia samej osobowości Kartezjusza i do śledzenia go przez uważną i ścisłą lekturę jego tekstów, lekturę „dobrej woli", wolną od zacietrzewienia się uczuciowego. Że zaś im bardziej chcemy być obiektywni dotykając cudzej obiektywności (zwłaszcza w filozofii), tym bardziej zacietrzewiamy się sami, że przy tym owo sławne wyznanie Kartezjusza „larvatus prodeo" postawiło go w stan stałego oskarżenia o zamaskowanie nadając mu prawie oficjalny tytuł „filozofa w masce", że zaś równocześnie biografia jego jest prawie terra incognita — podlegająca coraz to nowym domysłom i hipotezom — wyprawa po kartezjańską prawdę jest rzeczywiście pasjonującą awanturą. W dodatku, jakby uświęconą z góry przez samego Kartezjusza, który z wszystkich filozofów najbardziej — podług własnych słów — „kochał życie" a nienawidził pisania książek, nie lubił żadnej abstrakcji i walczył wciąż o jej funkcje praktyczne, nie lubił sławy, bo mu przeszkadzała i z absolutną szczerością wierzył w wartość absolutu na dzień powszedni.

Mimochodem można zauważyć, że najlepiej uchwycił go ktoś, kto prawdopodobnie znał go niedokładnie albo słabo: Adam Mickiewicz pisząc, że „trudniej dobrze dzień przeżyć niż napisać księgę". Bo właśnie ów dzień codzienny — to jest zagadnienie Kartezjusza. Każdy moment. Każda sprawa. Każda nowość. Zgorszony widokiem matematyki chodzącej luzem lub obracającej się w złym towarzystwie scholastyki i teologii, pierwszy widzi w niej istotne podstawy do wszelkiej jedności, zarówno w naukach każdego rzędu jak i konduity moralnej człowieka, definiując jego wolność jako determinację dobra. („...il suffit de bien juger pour bien faire"), teologom zaś swej epoki odszczeknie krótko, że „omnis peccans est ignorans".

Niewątpliwą zasługą Sartre'a jest najwnikliwsze ze wszystkich studium o nicości jako jednego oblicza wolności kartezjańskiej, przesuwa on jednak ten punkt podparcia zbyt daleko. (Gdyby można to wyrazić geometrycznie, nicość u Sartre'a jest wielowymiarowa, u Kartezjusza zaś płaska — jest to jedynie prawo negacji i odmowy działania, zawieszenie i odroczenie sądu do momentu pełniejszego poznania.) Kartezjusz dokonywa wyboru bez wahania: „wszystkiemu co jest nicością odpowiadać: Nie", a nici każdej rzeczy ludzkiej ciągnąć ku absolutowi nie (lub nie tylko) dla jego wartości metafizycznej, ale czysto logicznej. Logika kartezjańska, jak przystoi każdej logice, jest abstrakcją — logika u Kartezjusza jest uśmiechniętą cielesnością mądrości. Ten organiczny charakter myśli, jej curriculum vitae, jej zmysłowość, tam właśnie gdzie tyczy rzeczy najbardziej „oderwanych" — to jest sekret geniuszu Kartezjusza. Ściśle rzecz biorąc słowo: „oderwane" musiałoby mu być wstrętne, ponieważ nic nie jest dla niego oderwane z łańcucha metody. I prześliczną niespodzianką książki Samuela S. de Sacy jest ukazanie „Metody" kartezjańskiej jako autobiografii myśli, jako dzieła prawie literackiego, podczas gdy do tej pory zawodowi literaci i krytycy literatury nie dotykali Kartezjusza, podobnie jak zawodowi filozofowie nie tykali Montaigne'a.

Autor podkreśla wyznanie Kartezjusza, że nie pisze on „traktatu" o metodzie, ale zadawala się tylko rozmową na jej temat („discours") i że wybierając rzadką na ówczesną epokę formę pisania w pierwszej osobie usuwa się dyskretnie z roli mentora-filozofa na rzecz prywatnego doradcy. Tematem omawianej pracy nie jest zresztą żaden komentarz filozofii kartezjańskiej, ale podejście Kartezjusza do własnego dzieła. Jest ono zawsze jedno i jedyne: jest to przyjemność myślenia, przyjemność, dobierania się do prawdy, przyjemność zastosowywania jej w życiu, aby było ono lepsze i pełniejsze i radość z przystawania własnego życia do swoich zasad, radość żywa i wprost namiętna.

Zasadą mu najbliższą była zaczerpnięta z Owidiusza dewiza: „Bene qui latuit, bene vixit". Nikt też nie był równie jak Kartezjusz wierny samemu sobie, nikt bardziej wolny. Troska o wolność w najszerszym tego słowa znaczeniu wypełniała całe jego życie, strach i wstyd jakiegokolwiek przymusu moralnego kazał mu stać się dobrowolnym emigrantem, awanturnikiem wolności w chwilach, kiedy we Francji zbliża się panowanie króla-słońca. Kartezjusz był z rasy ludzi, którzy wierzą, że ojczyznę wynosi się na podeszwach, jakby w przeczuciu szkolnego sztandaru uczącego najmniejsze dziecko zasady: „Honor i Ojczyzna". Honor zaś był w jego oczach niemożliwy do praktykowania, gdy czuł się zagrożony jakimkolwiek systemem, czy choćby tylko atmosferą niesprzyjającą wolności myśli. Stąd rodzi się jego głęboka niechęć do Paryża, „gdzie nie można się opędzić rozrywkom nie do uniknięcia", stąd jego niechęć do życia światowego, nawet do korespondencji prywatnej, którą zawiesza na określony okres czasu uprzedzając przyjaciół, aby mu listami nie przeszkadzali, stąd zamiłowanie do incognito i samotności. Czmychnąć, zataić się, odciąć się i zaszyć w świat swoich dociekań, jest jego stylem życia. Oportunizm i konformizm, dwa zasadnicze zarzuty stawiane mu przez późniejsze pokolenia, są tylko częściowo słuszne. Owo unoszenie własnej głowy to nie tyle tchórzostwo ile samoobrona człowieka skazywanego wielokrotnie na śmierć cywilną przez uniwersytety (Utrecht w latach 1641-45, Leyda w 1647), które zakazywały publikacji jego pism, więcej nawet, zakazywały, aby mówiono o nim w ogóle, źle czy dobrze, proces zaś Galileusza był ostrzeżeniem zbyt wyraźnym, aby ryzykować druk „Traktatu o świecie".

Epoka Kartezjusza pod tym względem przypomina do złudzenia nasze średniowiecze współczesne w krajach obowiązującej ortodoksji materialistycznej, a liczne manewry uczonego w celu zabezpieczenia sobie osobistej wolności są doskonałym precedensem znanych nam doświadczeń z czasu „zniewalania umysłu". Jako zamach na wolność podejrzewa Kartezjusz nie tylko akcję wręcz wrogą, ale nawet wszelki fawor. Opiera się też i zwleka do ostatecznych granic swój wyjazd na dwór Krystyny Szwedzkiej, a dawszy się wreszcie nakłonić, nie przyjmie nigdy narzucanego mu wciąż obywatelstwa, opracowując zaś statut Akademii Nauk w Sztokholmie jako jeden z pierwszych warunków zakłada klauzulę wykluczającą cudzoziemców, aby go nikt nie mógł pomawiać o interesowność. Ten jednak kartezjański system „non serviam" w odniesieniu do swej wolności osobistej nie wynikał z mizantropii, lecz wręcz przeciwnie z wygórowanego zaufania do inteligencji człowieka, którą chciał uwolnić od teorii fałszywych i przesądów.

*) Samuel S. de Sacy: „Descartes par lui-même", editions du seuil, Paryż 1956, str. 191.

BURZA DOKOŁA DUDINCEWA

Powieść nieznanego do niedawna pisarza rosyjskiego Włodzimierza Dudincewa „Nie samym tylko chlebem", którą odcinkami drukowało czasopismo „Nowyj Mir", wywołała w Rosji Sowieckiej burzliwe dyskusje i polemiki, spotęgowane komentarzami i racjami, jakie spowodowała ona na Zachodzie. Głównymi jej postaciami są bezwzględny i bezduszny biurokrata Drozdow i, z drugiej strony, ofiara jego, wynalazca Łopatkin, człowiek o postawie szczerze idealistycznej. Tego rodzaju przeciwstawienia spotykało się już dawniej w beletrystyce sowieckiej, ale nie w tej postaci.

Na czym polega różnica. W omówieniu swym na łamach londyńskiego „Observera" Edward Crankshaw podkreśla fakt, że powieść Dudincewa wywołała publiczne, ożywione dyskusje wśród studentów rosyjskich; takie tłumne zebranie dyskusyjne odbyło się m. in. na uniwersytecie moskiewskim. Jeden ze studentów wyraził swoją opinię o powieści Dudincewa w słowach: „Nasza literatura była literaturą wielkiego kłamstwa. Nareszcie staje się literaturą wielkich prawd!"

Na czym polegają te prawdy? — pyta Crankshaw. Pozornie powieść Dudincewa nie zdaje się zasadniczo różnić od wielu innych powieści sowieckich, zajmujących się despotycznymi biurokratami, zdolnymi lecz umysłowo ograniczonymi dyrektorami fabryk, niezrozumianymi wynalazcami i całą dynamiką nowego społeczeństwa przemysłowego. Ostatnio, od chwili zgonu Stalina, pisarzy wprost zapraszano, by „brali pod lupę" biurokrację, by wyśmiewali i wyszydzali niepożądane czynniki wszelkiego rodzaju. Jedyną zabronioną rzeczą było ukazywać organiczny związek między niepożądanymi elementami a naturą systemu sowieckiego. Mogłeś mieć tylu łajdaków, ilu chciałeś i malować ich w najczarniejszych barwach — ale równocześnie musiałeś mieć bohaterów i bohaterki, którzy by im się przeciwstawiali, walczyli z nimi i w końcu pokonywali ich. Właśnie bohaterowie i bohaterki winni być pokazani jako wytwory systemu sowieckiego, a przy tym zwykle jako pełni zapału działacze partii. Władze gotowe są uznać, że takie „przeżytki" są liczne i mają tendencję do mnożenia się — ale odmalowywane być muszą one jako pożałowania godne pozostałości przeszłości.

Otóż zdaniem Crankshawa i innych recenzentów powieści Dudincewa w prasie Zachodu, powieść ta wykazuje, że jest odwrotnie, że system sowiecki nie tylko nie wytwarza społeczeństwa bezklasowego, ale odwrotnie stwarza podział społeczeństwa na rządzącą górę i wyzyskiwane przez nią masy. W tym samym duchu co Crankshaw pisze zachodnio-niemiecki publicysta, specjalizujący się w sprawach sowieckich, Kurt Welkisch. „Dudincew — wywodzi on — w sposób świadomy czy nieświadomy, umyślnie czy nieumyślnie, przyznał klasowy charakter sowieckiego porządku społecznego, i to nie jako wyraz pozostałości klasowych z „kapitalistycznej prehistorii" Rosji, ale jako następstwo biurokratycznego systemu kapitalizmu państwowego, który zdołał się rozwinąć w zasięgu władzy komunistycznej podczas panowania Stalina i doprowadził do wytworzenia się nowych frontów klasowych."

Zdaniem Welkischa realistyczne przedstawienie życia sowieckiego w powieści Dudincewa jest pewnego rodzaju nawiązaniem do wcześniejszych wybitnych powieści: Pilniaka („Mahoń") i Afinogenowa („Trwoga"), które ukazały się około roku 1930 lub trochę później.

Replika Dudincewa. Dudincew znalazł się pod obstrzałem skierowanym przeciw niemu rezolucji i krytyk, przy tym oczywiście nie brakło powoływania się na głosy Zachodu, skierowane przeciw systemowi sowieckiemu jako takiemu. Odpowiedział aktem skruchy. Oświadczył publicznie, że w sposób pożałowania godny powieść jego stała się „ofiarą ostrych zębów" i że rozerwano ją na dwie części, ogromnie przesadzając negatywną stronę jego przedstawienia rzeczy. Był przekonany, że jego bohater Łopatkin porusza się w społeczeństwie sowieckim, wewnętrznie wcale mu nie obcym — jeśli zaś chodzi o rolę partii, to przyznaje, że wskutek swej lekkomyślności i niedoświadczenia nie zdołał w ogóle jej zobrazować.

W podobny sposób Dudincew odpowiedział na recenzję Crankshawa w „Observerze" — przy czym replika jego zamieszczona została w programie angielskim radia moskiewskiego. Zaprzeczył w niej Dudincew twierdzeniu Crankshawa, jakoby postać Łopatkina wyrażała bunt jednostki przeciw gniotącemu ją kolektywowi, Drozdow zaś był wyrazem tendencji przeciwnej. Dudincew replikuje na to twierdzeniem, że Łopatkin jest najbardziej oddanym członkiem społeczeństwa, które pragnie ulepszyć, a Drozdow w rzeczywistości staje przeciw zbiorowości, jest bowiem bardzo zdolnym, ale zarazem bardzo wielkim egoistą.

„Nie samym tylko chlebem" w przekładzie na języki obce. „Observer" zamieścił replikę Dudincewa w obszernym wyciągu — w dopisku redakcyjnym zaznaczając, że wszystkie dzienniki sowieckie i zebrania pisarzy sowieckich w całym kraju potępiły książkę Dudincewa, oraz że kampania przeciw niemu uległa intensyfikacji, kiedy odmówił przerobienia powieści w duchu pożądanym przez władze. Powołuje się też „Observer" na niedawne doniesienie „Manchester Guardian", wedle którego sowiecka delegacja handlowa w Londynie zwróciła się do firmy wydawniczej Hutchinsona, by ta odwlokła ogłoszenie przekładu angielskiego powieści Dudincewa, gdyż powieść „ulega obecnie rewizji zgodnie z życzeniami autora". Firma Hutchinson odpowiedziała, że książka wydana będzie w tej postaci, w jakiej ukazała się pierwotnie w czasopiśmie „Nowyj Mir", ale wyraziła gotowość zarezerwowania miejsca na przedmowę, w której Dudincew wyjaśniłby, jakie zmiany pragnąłby zrobić i dlaczego.

Skąd inąd wiadomo, że powieść w przekładach już się ukazała na zachodnio-europejskim rynku wydawniczym. Wedle informacji Welkischa, władze sowieckie zdecydowały się pozwolić na jej wydanie także w Związku Sowieckim — Welkisch nie podaje tylko, czy w pierwotnej, czy też w zrewidowanej postaci.

WOLNOŚĆ GOREJĄCA

(Dokończenie ze str. 18)

Nie tylko drogą czystej spekulacji filozoficznej. Książka Samuela de Sacy podkreśla zapoznawane zbyt często słowa Kartezjusza o poezji: „Mirum videri possit quam graves sententiae in scriptis poetarum magis quam philosophorum. Ratio est quod poetae per enthusiasmum et vim imaginationis scripsere". Zapalająca iskra, stan nawiedzenia wizją działa zarówno w matematyce i filozofii jak w poetyckim natchnieniu. Po wiekach potwierdzi to Albert Einstein tworząc swoją teorię względności. Cała „Metoda" wybucha u Kartezjusza w stanie podświadomości, w czasie jego słynnych trzech snów, w których ujrzał księgę zatytułowaną „Corpus poetarum" i wytłumaszył ją sobie jako symbol połączonych razem „Poezji, Filozofii, Mądrości", pitagorejskie zaś „Tak" i „Nie" widniejące na początku stronicy — jak Prawdę i Błąd i jako nakaz zaangażowania się w tej walce, a piorun towarzyszący tej wizji pojął jako zstępującego w niego samego ducha prawdy. Zamiłowanie do symboliki charakterystyczne dla epoki przesiąkniętej jeszcze okultyzmem nauki i mistyki jest tu sprawą drugorzędną, rzeczą istotną pozostaje wiara Kartezjusza w posłannictwo objawione i stąd najwyższa ambicja, którą zdradził raz tylko i jakby mimochodem w „Compendium musicae" pogodzenia dwóch dróg poznania racjonalnej i irracjonalnej, obu prowadzących do doskonałej harmonii.

„Corpus poetarum" stanowi punkt zwrotny w historii myśli europejskiej, ale zarazem i „to o czym się nie mówi" i książka Samuela de Sacy przywraca właściwe miejsce temu zdarzeniu, „o którym się śniło filozofowi". System kartezjański, leżący u podstaw nowożytnej nauki, nie przestał być gorejącym źródłem, lecz powrót do tego źródła nie jest rzeczą łatwą dla tych, którzy odrzucili kartezjańskie równanie: istnienie jako dobro — albo niebyt.

J. Węgrzyńska-Kościałkowska

LUDZIE I ZDARZENIA

Londyńczycy normalnie nie zwracają uwagi na oryginalnie ubranych przechodniów, których wielu widuje się na ulicach Londynu. Amerykanów w błękitnych marynarkach, Malajki w białych bufiastych prawie pidżamach, przystojne Hinduski w ślicznych kolorowych sari i Arabów w fantazyjnych zawojach na głowie. Ale czasem któryś z cudzoziemców odwiedzających Londyn wykaże taką inwencję w zakresie swego stroju, że nawet zabiegani i obojętni londyńczycy muszą zwrócić na niego uwagę. Na zdjęciu naszym widzimy dostojnika afrykańskiego, Chief O. B. Douglasa ze Wschodniej Prowincji, który przyjechał do Londynu na konferencję przywódców nigeryjskich mających opracować konstytucję dla Nigerii. Pan Douglas przyjechał do stolicy Imperium w tradycyjnym stroju swej ziemi uczynił jednak pewne ustępstwa na rzecz cywilizacji białych. Tym ustępstwem jest wysoki błyszczący cylinder, dość egzotycznie wyglądający przy długiej murzyńskiej szacie. Pióra przypięte do cylindra odejmują mu całą jego oficjalną sztywność. Na teczce, w której mieszczą się prawdopodobnie ważne papiery dotyczące obrad, błyszczą z daleka srebrnymi wytłoczone zgłoskami: tytuł, imię i nazwisko nigeryjskiego polityka. Jakże blado i szaro wyglądają inni przechodnie na londyńskiej ulicy — wobec tej wysokiej egzotycznej postaci.



*

W Hong Kongu spadły ostatnio wielkie deszcze. Przez dwa dni padało bez przerwy, a w ciągu 60 godzin opady wyniosły przeszło 20 inczów. Jest to rekord nie notowany dotychczas w Hong Kongu. Deszczom towarzyły huragany, w których zginęło 49 osób a 5.000 ludzi jest bez dachu nad głową. Zdjęcie przedstawia dotknięte powodzią i huraganem ulice, zamieszkałe przez chińskich uchodźców. Jak widać taka okazja do niezamierzonej kąpieli w czasie gorącego lata, była dla dzieci raczej dobrą zabawą: dla dorosłych jest to jeszcze jedno nieszczęście prócz tych, których im los i przed tym nie szczędził.



*

„Okropny człowiek śniegów", żyjący rzekomo na zboczach Himalajów, stanowi, jak wiadomo, jedną z głównych atrakcji turystycznych tych niedostępnych okolic. Obecnie rząd Nepalu postanowił przelać opanowującą licznych amatorów przygód i sensacji żądzę spotkania z potworem na... brzęczącą monetę. Rządowa licencja na poszukiwanie tzw. „yetiego" kosztować będzie obecnie 500.000 rupii. Zabrania się go zabijać, chyba w wypadku obrony osobistej. Nie wolno też członkom ewentualnych ekspedycji informować prasy o wynikach poszukiwań, bez zgody rządu Nepalu. Złapany — żywy czy umarły — „yeti" stanowi własność tego rządu. Wszystkie jego fotografie — również. Przychodzi nam na myśl, że gdyby we właściwym czasie nasz poczciwy Krak wpadł był na podobny pomysł — nieszczęsna Wanda nie musiałaby skakać do Wisły, a obrzydły Niemiec wymiatałby nieczystości ze smoczej jamy pod Wawelem.

*

Bella Achmadulina, poetka i słuchaczka Instytutu Gorkiego w Moskwie ma być — zdaniem miejscowych entuzjastów — sowiecką Francoise Sagan. Jak wiadomo, obdarzona wielkim talentem pisarka francuska wydała swą pierwszą powieść „Bonjour Tristesse" (500.000 nakładu wyczerpane, tłumaczenia w kilkunastu językach) gdy miała lat 18, drugą zaś „Un Certain Sourire" — niespełna 20. Moskiewska Bella ma również lat 20, ale pisze poematy liryczne, na których dość wyraźnie znać ślady filozofii Sartre'a z pierwszych lat powojennych. Surową krytykę w „Komsomolskiej Prawdzie", a nawet w „Literaturnej Gazetie", wywołały ostatnio wiersze Achmaduliny z powtarzającymi się motywami „niepotrzebnego człowieka", „pustych oczu", „martwych rąk" itp. — To po prostu atak na sowiecki sposób życia — warczą ideologowie. My zaś z cierpliwością będziemy czekać, kiedy wreszcie nad Newą czy Oką pojawi się nowa kosooka Minou Drouet i jaka będzie jej poetycka wizja, „ojczystego socjalizmu".

*

Republika San Marino będzie podobno w niedalekiej przyszłości posiadała własną flotę morską. Państwo to, którego obszar wynosi 60 km^2, nie posiada wprawdzie własnego dostępu do morza, ale — jak to już udowodniła Szwajcaria — nie jest to warunek absolutnie niezbędny dla wysyłania na oceany świata statków pod własną banderą. Złośliwi sąsiedzi San Marino dopatrują się genezy tej historycznej decyzji w niedawnym dekrecie rządu włoskiego zabraniającym Włochom przekraczania bez kontroli granicy maleńkiej republiki. Zakaz ten spowodował zamknięcie w mieście San Marino kasyna gry, które było tam najbardziej dochodowym przedsiębiorstwem. Prasa włoska przepowiada, że projektowane „okręty" sanmaryńskie będą — na wzór krążących niegdyś po Missisippi tzw. „show boats" — pływającymi wzdłuż wybrzeży Italii domami gry.. Fakt, że rząd San Marino postanowił wybudować jako pierwszy statek pocztowy, również posiada swoją wymowę: wiadomo powszechnie, że głównym artykułem eksportu tego niewielkiego kraju są od dawna znaczki pocztowe.

CENA PRENUMERATY „ŻYCIA" W SZWECJI

PT. Prenumeratorów z terenu Szwecji prosimy o przyjęcie do wiadomości, iż od 1 lipca r.b. cena prenumeraty „ŻYCIA" będzie dla Szwecji wynosić:

kwartalnie	koron szw.	12.50
półrocznie	„ „	25 —
rocznie	„ „	50 —

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.